



BOHATEROWIE I NIEWOLNICY.

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW DAWNEJ ROMY

PRZEZ

Sodlaven Ed...
E. Zorjana.

WARSZAWA.

NAKŁADEM REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI.”

1885.

BOHATEROWIE I NIEWOLNICY.

7646.

BOHATEROWIE I NIEWOLNICY.

— 1885 —

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW DAWNEJ ROMY

PRZEZ

H. Zorjana.

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-89-83

WARSZAWA.

NAKŁADEM REDAKCYI „PRZYJACIELA DZIECI.”

—
1885.



Дозволено Цензурою.
Варшава, 19 Февраля 1885 г.

3016

Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna Nr 20.

<http://rcin.org.pl>

Słońce chyliło się ku zachodowi, ozłacając wzgórza otaczające Rzym, pieszcząc się ostatnimi promieniami z wspaniałymi gmachami, ciągnącymi się od bramy miasta, *Porta Capena* daleko pomiędzy ogrody, pełne laurów i cyprysów.— Gmachy te, ciągnące się wzdłuż drogi, wyłożonej gładkimi kamieniami, stanowiły jakby drugie miasto pod bokiem Rzymu. Tylko, że tu dziwna panowała cisza i spokój, a Rzym wrzał życiem wesołem, hałaśliwym, nie spoczywającym ni w dzień, ni w nocy. I nie dziw. Rzym był stolicą najpotężniejszego państwa na świecie; miliony różnorodnych narodów biły przed nim czołem. Rzym panował starożytnej Europie, a władzą swą sięgał do północnej Afryki i zachodniej Azji. Rzymianie podbiwszy w starożytności cały niemal znany wówczas świat, mogli być dumni i używać zabaw i rozkoszy. Dla tego to Roma, za panowania cesarów, była wesoła i pełna gwaru.

A tam za murami miasta, owe wspaniałe gmachy, zbudowane z marmurów, ozdobione prześliznami kolumnami i rzeźbami, pełne malowidła i złocień—to świat umarłych. Rzymianie otaczali poszanowaniem zwłoki i popioły nieboszczyków, więc budowali dla nich grobowce w kształcie pałaców i willi, bardzo kosztowne i wielkie. Na schowanie urn z popiołami zmarłych, nie wiele potrzeba było miejsca, ale wspaniałość grobowca oznaczała zamożność rodu i miała niby być wyrazem czci, jaką rodzina miała dla zmarłych swoich. Oprócz samych grobowców, które zajmowały dolną część budynków, były tam jeszcze sale wielkie i pokoje, w których odprawiano biesiady na cześć zmarłych. Ozdabiano je z wielkim przepychem, który teraz stał się zwyczajem Rzymian. W czasie uczt było tu głośno, ale za zwyczaj panowała cisza; ledwo gdzie niegdzie można się było dopatrzeć człowieka, niewolnika, strzegącego pańskich grobów.

Tak też było owego wieczoru, kiedy się opowiadanie nasze zaczyna, w szóstym dziesiątku pierwszego wieku ery chrześcijańskiej.

Na tronie rzymskich cesarów zasiadał od 54 roku po narodzeniu Chrystusa, Lucius Domicius Neron, adoptowany syn poprzedniego cesarza, Klaudyusza.

Owoż, tą drogą miasta umarłych, zdążało ku bramie Romy kilku ludzi. Znać po nich było zmęczenie; kurzem okryte szaty świadczyły, iż daleką odbyli podróż i ledwo zdążali do celu swej wędrówki. Szli pieszo, a jeden z nich tylko rozsiadł się wygodnie na grzbiecie niskiego, krępego konia.

Ten, który jechał, był człowiek szpetny i dzikie miał oblicze. Wystające, chude policzki pokrywała skóra prawie brunatna z opalenia, oczy małe, zapadłe, świeciły niby u kota, a rzucał nimi chytrze na wszystkie strony. Z pod ciemnej, kurzem okrytej czapki, wymykały mu się kosmyki rudych włosów. Brodę także miał rudą i rzadką. Jadąc spoglądał ciągle na swoich towarzyszków pieszych, machając niby dla fantazyi biczem rzemiennym. Nie raz nim smagnał którego z idących i uśmiechał się przy tem, widząc krzywiących się z bólu i tak już znękanych podróżników. Oni, choć bici, nie żalili się; żaden z nich nie odezwał się głosem skargi. Widocznie byli już przyzwyczajeni do takiego postępowania.

Niektórzy szli zupełnie obojętni na to, co ich otaczało, inni zaczęli się z ciekawością przypatrywać miastu umarłych. Wspaniałe grobowce, lśniące od złota i marmurów, zdziwiły ich. Nigdy w życiu nic podobnego nie widzieli. Trzej oso-

bliwie z wielką ciekawością przypatrywali się temu wspaniałemu widokowi. Szli razem, jakby najbliżsi sobie, milcząc. Cała ich uwaga w oczach się skupiała. Wreszcie jeden z nich odezwał się:

— Piękny widok! Cóż dopiero w samym Rzymie zobaczymy?

Ten, który to mówił, był człek wzrostu średniego, lat około trzydziestu, budowy dość wątlej. Włosy miał krucze, kręcone, nos kształtny; w ogóle piękne rysy twarzy, oczy czarne rzarzące się, jak dwa węgle. Odziany był, jak jego towarzysze ubogo, ale zręcznie układał płaszcz na ramionach, aby piękniej wyglądał i zdawał się dość wesołym. Łatwo było w nim poznać Greka.

Tuż obok niego, siedł człowiek wzrostu ogromnego, zbudowany silnie; jakby z żelaza ukuty wyglądał. Ręce nagie, wyglądające z pod greckiego płaszcza, zdawały się z samych muszkułów złożone. Dziwnie od tej budowy olbrzymia i siłacza odbijała twarz łagodna, oczy niebieskie i włosy długie, jasne, jak len. Obok niego idący trzeci towarzysz, był także jasnowłosy i dobrotliwego oblicza, ale nie tak wysoki i nie tak silny. Podobni byli do siebie.

— Prawda, pięknie tu jest — rzekł wysoki głosem śpiewnym po grecku, ale znać było, że języka tego wyuczył się nie zupełnie, a nie był

to język jego macierzysty — pięknie, ale nie dla nas... — dodał ze smutkiem.

— Trudno, mój kochany Luciusie — rzekł Grek — trzeba brać to, co komu los daje. Wolałbym być wielkim panem, bogatym, mieć takie pałace i niewolników... Los zaopiekował się mną inaczej, to i cóż na to poradzę!

— Ty, Rufinusie — odparł nazwany Luciussem olbrzym — wesoły jesteś zawsze i nic sobie nie robisz z życia, choćby tak ciężkiego, jak nasze.

— Nie powiem, żeby mi ono bardzo smakowało — zaśmiał się Rufinus — może lepiej by było umrzeć już dawno, ale jakaś nadzieja odzywa się we mnie. Kto wie, czy i ja kiedyś nie dźwignę się wyżej i nie zakosztuję zbytku, bogactwa, rokoszy i panowania?

Towarzysz jego uśmiechnął się łagodnie.

— Śmieję się, bracie, śmieję, a we mnie jest głos jakiś, który mi nie daje spokoju i ciągle szepcze: będziesz wolnym i bogatym. Dla tego to życie jest mi miłym, a tobie je zawdzięczam.

— Nie mów o tem — przerwał mu Lucius.

— Przeciwnie, zawsze o tem pamiętam. Tyś mi życie ocalił; na własnych barkach niosłeś, gdy mię chorego, umierającego prawie, chciał nasz handlarz porzucić na pastwę zwierząt leśnych.

On handluje tylko zdrowymi, a umierającego kopnie nogą, jak psa, bo litości nie ma w sercu. Ty, tak samo jak ja niewolnik, ulitowałeś się nademną, choć się naraziłeś na gniew pana. Bogowie wrócili mi zdrowie, a tobie nie przestanę nigdy być wdzięcznym...

— Więc dobrze—rzekł Lucius z uśmiechem— gdy zdobędziesz majątek, kup mię; u ciebie służba będzie może lepsza, aniżeli gdzieindziej.

— Kupię — mówił Grek wesoło — ale nie do służby, wolnym wtedy będziesz zupełnie.

— I o mnie wtedy pamiętaj przez miłość dla brata — odezwał się trzeci towarzysz nieśmiało.

— Pewno, pamiętać będę i o tobie Juliuszu.

— O, jakby to było dobrze — zawołał ten, którego Grek nazwał Juliuszem — odzyskać wolność! Wiesz — rzekł ciszej do brata swego — ucieklibyśmy z tego kraju, choć tu tak pięknie. Poszlibyśmy na północ, za wiatrem, do naszej ziemi, którą ja ledwo pamiętam. Tam nie ma takich pałaców, drzew zawsze zielonych i kwiatów woniących; zimno tam i chmurno, ale mi tęskno do tej ziemi rodzinnej i łzy jej wspomnienie wyciska.

Istotnie rozplakał się młody chłopak na samo wspomnienie dalekiej ziemi ojców swoich, z której go porwano, uprowadzono do niewoli, a teraz wiodą na targ do Rzymu.

Lucius uściskał dłoń brata. I jemu się coś w oczach zamgliło.

— Hej! a prędejsze! — zawołał jadący na koniu handlarz niewolników i smagnął batem po plecach rozmawiających.

Lucius głowę pochylił na pierś smutnie, Rufinus uśmiechnął się szydersko, patrząc na szpetnego pana swojego. Nawykł do bata, ale pod wpływem nadziei, o której mówił, wesoło znosił niewolę.

Minęli wielką bramę.

Więc stanęli już w tym potężnym Rzymie, który światem całym władał, depcząc wszystkich, sam nie lękając się nikogo, bo się nazywał bogiem miast i świata. Ruch panował na ulicach ogromny. Wszędzie pełno jezdnych i pieszych, dążących w najrozmaitsze strony. Krzyk, hałas, śpiewy i muzyka mieszały się w tym gwarze ulicznym. Światła pokazywały bogate domy i zapadłe kramy kupieckie, przepyszne stroje patrycyuszów i nędzne łachmany niewolników; wszystko się tu mieszało, ocierało o siebie, jak zwyczajnie na ulicy.

Gromadka naszych niewolników z swym panem postępowwała wolno, nie wiedząc dokąd. Na ulicach zaczynało się przeredzać, miasto uspakajało się, ludzie układali się do snu.

Wreszcie podróżni stanęli u kresu, w odległej uliczce, przed niskim, brudnym domem. Handlarz zapukał do drzwi. Czekał dość długo zanim mu otworzono. Złajał leniwą niewolnicę za to, że musiał stać pod bramą, oddał konia jednemu z niewolników i wszedł do niskiej, poczerniałej od dymu izby. Tu powitał go gospodarz, chudy, wysoki, trędowny na twarzy i skośnooki.

— Jak się masz stary łapaczu! — zawołał właściciel taberny (szynku) — wieki cię nie widziałem.

— I stęskniłeś się szkielecie, jak czop do butelki, cha, cha, cha...

— Nie stęskniłem, alem myślał, że ci już gdzie ukręcili twój gruby kark i złe duchy porwały na uciechę hadesu (piekła).

— Jam też czekając pod drzwiami myślał, że cię nie zastanę.

— A co by mi się stać mogło? — zapytał gospodarz.

— Alboż ci nie czas zawisnąć gdzie na gałęzi?

— Serdeczny mój braciszku — zawołał śmiejąc się gospodarz — jeśli komu taki zaszczyt należy, to tobie. Jam tak chudy, że by mię wiatr uniósł i śmierci bym na powrozie nie znalazł.

Śmieli się wesoło przy tej pogadance starzy znajomi i nie gniewali się nigdy o takie przymówki.

— Mówże z czem przybywasz? — zapytał gospodarz.

— Mam kilku niewolników, za których spodziewam się dobry pieniądz otrzymać.

— Gdzież są?

— Prawda, zapomniałem o nich, patrząc w twoje szlachetne oblicze.

Wyszedł więc, aby zawołać swych niewolników do izby. Znużeni daleką podróżą padli prawie na ziemię, szukając chłodu i wypoczynku. Spodziewali się, że pan ich o nich zapomni, choć pora już była, aby co zjedli. Ale do głodu przywykli od dawna. Powstali na głos handlarza i poszli za nim do izby szynkowej. Tu nie mówiąc słowa, posiadali na podłogę. Tylko Lucius i Rufinus stali. Siły pierwszego nie wyczerpały się nawet nużącą podróżą, drugi w wesołości topił zmęczenie.

— Ładny towar — rzekł gospodarz.

— Kosztował mnie też pracy nie mało.

— Gdzież tego olbrzyma wyłapałeś?

— Ten z dalekiej północy, słowianin. Kupiłem go już dawno, chłopięciem jeszcze, a cho wałem go w Grecyi na siłacza.

— Ten ci się opłaci.

— Zdaje ci się, że ja mniej wart — odezwał się śmiało Rufinus—dla tego, że nie tak wysoki,

— Ej, za ciebie także zapłacą — zaśmiał się gospodarz — tu teraz każdy kto może, kupuje Greka uczonego, a tyś pewno uczony, filozof!

— Jak każdy Grek.

— Tak, prawda, u was wszyscy uczeni, a u nas uczonych płacą dobrze.

— Tylko nie po śmierci — rzekł Rufinus.

— Jakto?

— A no, do jutra z głodu pomrzemy, wtedy nasz pan zacny nie dostanie za kości wychudzone ani sestercyi (moneta wartości pół złotego).

— Cha, cha, cha, — zaśmiał się gospodarz — widzisz, jaki ten filozof mądry, o żołądku nie zapomina.

— Dajże im co jeść — rzekł handlarz — a i mnie zda się posiłek.

Wnet przyniosła stara niewolnica chleb i mięso dla niewolników, dla panów zaś ryby i wino. Niewolnicy jedli u drzwi chciwie, bo głód już cierpieli. Panowie rozsiedli się wygodnie na łożu.

— Zacny handlarzu mięsa ludzkiego — odezwał się Rufinus — we mnie nie same tylko ciało popłaca, więcej może wart jest duch i nauka, a te zmarnieją do jutra na sucho. Nie sądzisz, że dobrzeby było pokrzepić go czem?

Gospodarz roześmiał się głośno.

— Temu jeszcze kiedyś będzie dobrze na świecie, da sobie radę.

— Ale dziś mnie to kosztuje — rzekł handlarz.

— Jutro odbierzesz z nawiązką!

— Ha, niechże i tak będzie, daj im trochę wina.

— Tylko nie przepłukuj go zbyt — zawołał Rufinus — bo wtedy zamiast w głowie, pomąci w żołądku.

Gospodarz śmiał się z dowcipu Greka.

— Jak ty się nazywasz? — zapytał go.

— Rufinus.

— To twoje rodowe miano?

— Nie, przezacny pan nasz tak mię nazwał, bo on przemyślny jest w dawaniu nazwisk. Tego oto towarzysza mojego mianował Lucyusem, tamtego Julusem, powiadając, że kiedy zostaniemy senatorami, będziemy już mieli gotowe piękne imiona!

— Może się nie omyli — rzekł gospodarz — teraz w Rzymie wszystko stać się może. Wszak niegdyś cesarz Caligula chciał konia swego uczynić senatorem, a wyzwolęńcom z Galii nieraz dostaje się wysoki urząd, chociaż starzy patrycyusze krzywo na to zrazu patrzali.

— Prawdaż to, co mówicie? — zapytał żywo Grek.

— Tak, jako mię przed sobą widzisz — odpowiedział gospodarz.

— Tem lepiej. Można się czegoś dobić, albo bodaj żyć nadzieją — rzekł Rufinus niby do siebie.

Gospodarz kazał podać wina.

— Pij senatorze, a gdy będziesz przy boku cezara nie zapomnij o mnie.

— Bądź tego pewnym — rzekł z powagą Rufinus — przyszę ci takiego kwaśnego wina, jak to, którem mię teraz poisz.

Niewolnicy napiwszy się i najadłszy, posnęli na podłodze. Tylko Rufinus z Lucjusem rozmawiali, lub przysłuchiwali się rozmowie swego pana z gospodarzem. Osobliwie Rufinus nasłuchiwał ciekawie, gdy mówili o Rzymie i o tem wszystkim, co się w nim obecnie dzieje.

Na ulicach miasta ucichło zupełnie i ciemno było. Rzym po zabawach i uciechach spał, czekając rana—nowych zabaw.

W jednej z ulic bocznych dał się słyszeć hałas. Kilku ludzi ciemno ubranych, zakapturzonych, odrywało drzwi jakiegoś sklepu. Silni byli, więc drzwi pękły pod ich razami. Wdarli się do sklepu, porywali co tylko znaleźli, chowali

klejnoty niezbyt cenne, resztę rzucali na ziemię, deptali nogami, słowem niszczyli. Przytem śmieli się z radości, że taką niespodzianą psotę wyprawiali właścicielowi sklepu. Zburzywszy, co im wpadło pod rękę, pospieszyli dalej.

Znowu na drugiej ulicy drzwi wyłamali, tłukli naczynia znalezione, rozlewali oleje i wonności, a śmieli się głośno, jak rozpustne żaki, kiedy wplatają jakiego figla.

Tak z ulicy w ulicę pędząc, rabowali i niszczyli dobytek kupców, najczęściej ludzi ubogich, którzy nie mieli nawet niewolników do pilnowania małych sklepików. Nie byli to jednak zwyczajni rabusie, bo zabierali mało, więcej psuli i rozrzucali. Wesołość ich głośna także o tem świadczyła, że nie dla rabunku odbywali tę nocną wycieczkę.

Sporo już szkody ludziom narobili, gdy niespodzianie zostali napadnięci. Hałas wywołał mieszkańców z domów. Złoczyńcy puścili się co sił starczyło w nogi. Zmykali szybko, ale raz o mało, że ich nie schwytano. Wtedy jeden z uciekających zatrzymał się, pierwszego z nacierających schwycił w pól, do góry podrzucił, w powietrzu porwał za nogi i tak nim zawinął, jak maczugą. Uderzył nim innych goniących, potem raz jeszcze zamachnął nieszczęśliwym i rzucił go

na głowy jego towarzyszy. Korzystając z zamieszania, umknęli nocni psotnicy.

Już ich teraz nikt nie gonił, ale im widocznie nie dość jeszcze było psot. Zapędzili się w bezludną prawie uliczkę, gdzie właśnie stała owa taberna, w której widzieliśmy handlarza z niewolnikami.

Cicho tam było. Niewolnicy spali, gospodarz z gościem swym rozmawiał, Rufinus słuchał ciekawie.

Wtem usłyszano dobijanie się do drzwi.

— Któżby to o tej porze mógł być? — zawołał zdziwiony gospodarz.

Dobijanie stawało się głośniejszem.

— Pilno im bardzo.

— Możeby lepiej nie otwierać — rzekł handlarz.

— Ba, to mi dom rozwałą.

Obudził niewolnicę i kazał otwierać.

Wpadło do izby czterech ludzi silnych, ubranych ciemno, nie bogato, bo nawet niektórych odzież była poszarpana. Choć nie największy wzrostem, przodował im człowiek młody, lat mieć mogący dwadzieścia kilka. Włosy miał koloru miedzianego, kręte, broda była ciemniejsza, długa i gęsta. Oczy latały na wszystkie strony, a takie były przenikliwe, że najśmielszy nie wy-

trzymałby długo ich spojrzenia. Okrywał go brązowy płaszcz z kapturem, zarzuconym na głowę.

— Cóżto — zawołał—śpiz stary czopie, gdy goście do wrót taberny pukają?

— Alboż nie pora spać? —odparł gospodarz, zły za takie powitanie.

— Tobie pora wtedy spać, kiedy się ludziom pić nie chce! Wina dawaj.

Gospodarz podał dzban, który stał na stole.

Rudy nos do dzbana wetknął, powąchał i spojrzawszy na gospodarza, zawołał:

— Cóżto, chcesz abym ci dzbanem w czaszce dziurę wybił i tej kwaśnej lury do łba nalał?

Gospodarz uśmiechnął się.

— Widzę zacny gościu masz węch doskonały i znasz się na winie. Nie potrzebnie byś się trudził rozbijaniem mojej czaszki. Wino do głowy idzie, ale przez żołądek.

Sam zaśmiał się z własnego dowcipu i pobiegł do piwnicy.

Niewolnicy obudzeni hałasem powstali i przypatrywali się ciekawie przybyłym gościom. Rufinus osobliwie oka nie spuszczał z rudego zawa-dyaki.

Ten także rozpatrzył się po izbie. Stół silną ręką odsunął i na ławie pod ścianą usiadł.

— Wy kto jesteście? — zapytał.

— Nie kto, lecz co, trzebaby zapytać — odrzekł Rufinus — jesteśmy mięsem, przez tego oto zacnego obywatela prowadzonym na targ rzymski.

— Niewolnicy!

— Nie zupełnie — mówił Rufinus — bo wolno nam wiele, naprzykład umrzeć z głodu, osobliwie, gdy jeść skąpo dają.

— Tyś, widzę, wcale nie smutny.

— A nacoby się zdało smucić? Ze smutku człowiek chudnie, a niewolnik w tem podobny jest do człowieka.

— Ty nie chcesz schudnąć?

— Przeciwnie, chciałbym utyć w Rzymie. Tu podobno jest się na czem wykarmić. Cały świat dostarcza Rzymowi jadła i pieniędzy.

— Na to jadło nie ty jeden czekasz — odezwał się gospodarz, który powrócił z antalkiem starego wina.

— Ten je dostanie kto silniejszy!

— No, — roześmiał się rudobrody gość — ty chyba siłą nie zdobędziesz chleba w Rzymie.

— Nie siłą pięści, ale siłą rozumu i języka.

Goście zaczęli pić. Rudobrody zaprosił do stołu i Rufinusa.

— Nie gardzę szlachetnym trunkiem, tem bar-

dziej, że nam tu zacny gospodarz przepłukał żołądki kwaśną wodą.

— Hej Rufinus, — zawołał handlarz — wara mi od kubka; spijesz się jak bydlę.

— A ty nie chcesz, aby był do ciebie podobnym? — zapytał rudobrody.

— Schowaj twój język szczerbaty dla takich, jak ty sam — krzyknął handlarz, zły, że mu niewolnika chcą spoić.

Rufinus śmiał się ze złości swego pana.

— W ką, spać! — wrzasnął handlarz.

— Nie czekaj, żebym ci języka nie wydarł — zawołał rudobrody, błyskając oczyma.

Handlarz porwał się wściekły.

— Co ty mi tu będziesz prawił nauki, włóczęgo nocny!

Rudobrody kopnął nogą stół, obalił go i skoczył na handlarza. Pięścią pchnął go tak silnie, że ten aż się zatoczył ku ścianie.

Lucius, widząc swego pana w niebezpieczeństwie, choć on jego był tyranem i nieraz krzywdził, stanął do obrony. Plecami zasłonił handlarza i spokojnie patrzył na rudobrodego, który rozgrzany winem szukał bójki.

Ujrawszy ogromną postać Luciusa, posunął się ku niemu.

— Chcesz się ze mną spróbować?

— Nie szukam bójki, ale mogę obronić słabszego.

— Zobaczymy, czy go obronisz.

Lucius stał spokojny, z założonemi rękoma. Rudobrody skoczył ku niemu. Chwycili się za ramiona.— Rudobrody był mocny i zażarty, ale Lucius wyższy i silniejszy jeszcze. Chwilę mowali się. Nie można było przewidzieć, kto zwycięży. Wreszcie padł rudobrody na ziemię.

Towarzysze jego poskoczyli na pomoc, ale w tejże samej chwili krzyknął gospodarz przerażliwie i padł na kolana.

— Cezar! — wyjęknął.

Rudobrodemu odpadła w bójce długa broda i teraz dopiero poznał w nim gospodarz cezara Nerona, który lubiał po nocach się włóczyć i zachodzić do szynków w przebraniu, dla zabawy.

Neron podniósł się szybko.

Wszyscy struchleli; handlarz trząśł się ze strachu, pewny będąc, że głowę utraci za zuchwalstwo. Jeden tylko Lucius stał spokojny, jakby nie rozumiał co się stało.

Gospodarz na kolanach prosił cezara o przebaczenie.

Neron stał chwilę zamyślony, wciąż patrząc na Luciusa. Wreszcie odezwał się:

— Zuch jesteś. Tobie pierwszemu udało się zwalczyć cezara. Wezmę cię do siebie; będziesz dobrym gladyatorem.

Lucius słuchał obojętnie, nie podziękował nawet cesarowi za ten zaszczyt.

— Weź i mnie cesarze — odezwał się Rufinus.

— Dobrze, wezmę cię. Jutro niech was przyprowadzi wasz pan.

To rzekłszy rzucił sztukę złota gospodarzowi i odszedł z swymi towarzyszami.

Tej nocy nikt w tabernie nie mógł usnąć. Nie wiedziano jeszcze, czy Neron daruje winę tym, co nie poznawszy go, śmieli zaczepić. Gospodarz pocieszał się myślą, że to nie pierwszy taki wypadek, bo Neron nie raz przebrany wszczynął bójki w nocy na ulicy, lub w szynkach. Robił to dla rozrywki, gdy go zbytek i zabawy pałacowe znudziły.

Więc może i tym razem nie zechce nikogo ukarać.

Lucius był spokojny. Wiedział, że go w Rzymie handlarz sprzeda. Został niewolnikiem Nerona. Ani go to cieszyło, ani smuciło.

Rufinus był uradowany. Kto wie, myślał sobie, może potrafi zaskarbić łaski cezara, zostanie wyzwolonym z niewoli, a wtedy osiągnie zaszczyt.

ty i bogactwa. Uśmiechał się do różowych marzeń i usnął, błogo śniąc nad ranem.

Handlarz, pomimo pocieszeń przyjaciela gospodarza, drżał ciągle ze strachu i na jutrzejszy dzień gotował się, jak na śmierć.

Nazajutrz szedł handlarz z niewolnikami swymi do pałacu cezara na Palatynie. Rufinus był bardzo wesoły. Śmiał się ciągle i do Luciusa przemawiał.

— Nie spodziewałem się — mówił — ażebym tak rychło poznał cezara Nerona i to w taki sposób.

— Ani ja — rzekł Lucius.

— Lecz mnie to wcale nie smuci — mówił dalej Grek — owszem, mam tem większą nadzieję, że z tego coś dobrego dla mnie wypłynie.

— Szczerze ci tego życzę — rzekł poważnie Lucius.

Najsmutniejszym był Julius, którego ten wypadek pozbawił towarzystwa brata. Dotąd zawsze byli razem i miłowali się wielce; teraz szedł Lucius w służbę cezara, a brat nie wiedział komu się dostanie.

Jeden z nocnych towarzyszy Nerona już czekał przybycia niewolników. Wnet dobił targu.

— Może jeszcze kogo kupicie? — zapytał handlarz, pokazując resztę niewolników.

— Nie, — odparł zagadnięty — tych tylko chciał cesar.

— Więc bywajcie zdrowi.

Bracia rzucili się sobie w objęcia, młodszy rozpłakał się na dobre. Niemieli czasu na długie pożegnanie. Handlarz spieszył na targ, aby się pozbyć reszty towaru.

Lucius stał chwilę, patrząc za odchodzącym bratem.

— Nie smuć się — zawołał Rufinus — będzie nam jeszcze wszystkim dobrze.

I oni musieli się rozstać. Luciusa wzięto do szkoły gladiatorów, gdzie miał się uczyć rozmaitych sposobów walczenia na igrzyskach w cyrku, Rufinus dostał się do dworu cesara.

Handlarz z resztą niewolników poszedł ku brudnej dzielnicy miasta, gdzie miał znajomego, który tem samem, co on, trudnił się rzemiosłem. Tam umieścił swój towar żywy, czekając na kupców.

Istotnie zaczęli się schodzić rozmaici ludzie, oglądali niewolników, jak rzecz jaką, jak bydłę; targowali się uparcie o każdą sestercyę, często odchodząc, nie dobiwszy targu. Trzeciego dnia zjawił się człowiek siwy, odziany ciemno i niebogato i zarządał pokazania sobie niewolników. Handlarz wprowadził go do izby, w której nie-

szczęśliwi leżeli. Przybyły oglądał uważnie każdego, wreszcie wybrał Juliusa. Próbował jego siłę, wypytywał co umie, a wkońcu kupił go.

Julius szedł za swym nabywcą obojętnie, wiedząc, iż nic go dobrego nie czeka, bo już to samo, że był niewolnikiem, złem było.

Szli przez ulic wiele, aż dotarli do ładnego domu, otoczonego ogromnym ogrodem. Odzwierciany otworzył furtkę i Julius ujrzał się w miejscu pięknem, pełnem zieleni i kwiatów; przed sobą miał dom ozdobiony lekkimi kolumnami z marmuru. Cisza tu panowała, jakby ludzi wcale nie było. Dopiero gdy weszli w głąb domu, ujrzał Julius służbę, krzątającą się około zajęć domowych. Ład panował wszędzie i cisza. Każdy coś robił, a nie widać było dozorców, którzyby kijami niewolników do pracy naganiali, jak to się często działo. Tego, który Juliusa przyprowadził, witali wszyscy pokłonem, jakby pana swojego. On też do każdego słówko przemówił i szedł dalej.

Wewnątrz domu, jak obyczaj ówczesnego budowania kazał, było *atrium* t. j. rodzaj małego podwórza, otoczonego murami i kolumnami, na których wspierał się daszek, idący dookoła. We środku dachu nie było, lecz odsłaniało się niebo, odbijające swój błękit w sadzawce, otoczonej mar-

murowemi ścianami. Ze środka sadzawki bił wodotrysk, spadając z miłym szmerem. Wszędzie widoczna była wielka czystość i porządek. Z tąd poszedł Julius w głąb domu, gdzie się mieściły izdebki niewolników. Były to cele niewielkie, ale schludne i jasne.

Do jednej z nich wprowadził przewodnik Juliusa i kazał mu czekać. Po chwili wrócił z jednym z niewolników, dał Juliusowi znak, aby szedł za nim i poprowadził go do łaźni. Ów niewolnik, nowy towarzysz Juliusa, pomagał mu się umyć z podróżnego kurzu, sam podał nowe szaty, czyste, barwy ciemnej i kiedy to wszystko skończyli, poszli razem do ogrodu. Tu ujrzał Julius wielu sobie podobnych, zajętych pilnie pracą. Ten, którego Julius uważał za swego pana, doglądał pracy niewolników i sam im dawał wskazówki. Juliusowi też do roboty wziąć się kazał. Po chwili, zdawszy dozór nad niewolnikami komu innemu, sam odszedł.

Towarzysze przypatrywali się ciekawie Juliusowi. Ten i ów go zagadnął, |lecz nie każdy umiał się z nim rozmówić; nie wszyscy znali język grecki, a Julius znowu łacińskiego nie umiał. Ale znalazło się sporo Greków, którzy nie przerywając roboty, rozmawiali z Juliusem. Pokazywali mu, jak ma robić, pytali z kąd pochodzi, wreszcie

powiedzieli mu u kogo był. Dom ten i ogród należały do Pomponii Graeciny, wdowy po senatorze rzymskim, bardzo zacnej kobiety, która nikomu krzywdy nie czyni, a z niewolnikami obchodzi się po ludzku. Ten, który Juliusa kupił i przyprowadził, był niegdyś także niewolnikiem, a teraz wyzwolencem, służącym u Pomponii i mającym dozór nad całym domem. Był to także człowiek dobry, łagodny, który niewolników nie bił, pamiętając, ile sam niegdyś wycierpiał u nielitościwych panów. Wszyscy tu tak już nawykli do pracy, że ich do niej naganiać nie było potrzeba; każdy pilnował swego, aby sobie zjednać zadowolenie pani i dozorczy.

Tego samego dnia poznał Julius swoją nową panią. Była to matrona sędziwa, poważna, łagodnego oblicza, która bardzo łaskawie przemówiła do swego niewolnika, zalecając mu pracowitość i porządek, a wystrzeganie się kłótni z towarzyszami.

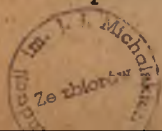
Upłynęło zaledwie dni kilka, a Julius oswoił się z zupełną swą nową dolą i musiał przyznać, że mu tu lepiej było, aniżeli u handlarza, który biczem smagał często i bez litości. Towarzysze niewoli, byli to sami ludzie porządni, spokojni i pracowici, a wnet polubili Juliusa, za jego skromność i pokorę. Odgadli jego smutek i tęskno-

tę za rodzinną ziemią i pocieszali go jak mogli. Dozorca był dlań łagodnym i wyrozumiałym, gdy nieświadomy jeszcze swej nowej pracy Julius w czemś się omylił. Sama pani często przypatrywała się robocie niewolników, pilnując, aby ich nie obciążano nad siły.

Tak więc byt młodego niewolnika dość by był znośny, gdyby nie tęsknota jakaś tajemna, która czyniła go ciągle smutnym. Dawniej przecież lżej mu było, bo mógł rozmawiać z bratem, pocieszać się wspomnieniami lat dziecięcych, słuchać opowiadań o rodzinie i kraju, którego od lat dziecięcych nie widział i mowę swą już zapomniał wśród obcych. Teraz czuł się bardzo osamotnionym, chociaż widział, że towarzysze jego niedoli serdecznie mu sprzyjali.

Nie raz opowiadali mu, jacy oni szczęśliwi, a jak srodze cierpią niewolnicy u innych panów. Głód i kij były zazwyczaj towarzyszami niewolników, a u Pomponii Graeciny nawet kupionego niewolnika, uważano za człowieka.

Rzadko wychodzili niewolnicy poza obręb domostwa; raz wszakże pozwoliła im dobra pani użyć swobody, przypatrzeć się widowisku, jakiego pewno dotąd nie widzieli. Było istotnie na co patrzeć.



Z pałacu cezara na Palatynie, ruszył wspólnie pochód jeszcze przed wschodem słońca.

Najpierw szli liktorowie z pękami różg, za nimi edylowie i patrycyusze w bogatych strojach i złocistych pasach. Dalej postępowali kapłani, niosący posągi bogów pogańskich i szczerozłoty posąg cezara Nerona, który uważał się za boga także. Większe posągi stały na wozach, pokrytych kosztownymi oponami. Do wozów tych zaprzężono białe konie, jelenie ze złocionymi rogami, wielbłądy, a nawet lwy i słonie. Uprząż kapała od złota.

Za szeregiem wozów z bóstwami, szły sieroty, wychowywane kosztem cezara, dalej dzieci bogatych patrycyuszów, senatorów i rycerzy. Potem znowu widać było szereg wozów z brązu i złota, dwukołowych, służących do wyścigów w cyrku. Woźnice, stojąc trzymali lejce rwących się koni. Za wozami stąpali poważnie gladyatorowie, ludzie zbudowani silnie, którzy w cyrkach walczyli pomiędzy sobą i tem lud bawili. Gladyatorowie ci byli rozmaicie uzbrojeni i ubrani, bo nie wszyscy w jednakowy sposób do walki stawali. Więc jedni mieli hełmy mocne, tarcze i krótkie rzymskie miecze; drudzy zamiast miecza używali włóczni (dzidy); inni niesli siatki, które usiłowali zarzucić na przeciwnika, aby go splątać i w ten sposób

pokonać; jeszcze inni zamiast siatek używali powrozów.

Za gladyatorami szła muzyka, złożona z flecistów i trębaczy; dalej ludzie poprzebierani w skóry zwierząt, tańczyli i skakali.

Wreszcie rozpoczynał się szereg kapłanów, w bogatych szatach, z laskami złocistymi, kadzielnicami, nożami ofiarnymi i innymi przyborami obrzędowymi. Pomiędzy kapłanami posuwał się zwolna wspaniały wóz, okryty purpurą, drogimi kamieniami, złotem. Wóz ten zwał się świętym. Na nim siedział cesarz Neron, który był zarazem najwyższym kapłanem. Szatę miał na sobie kapłańską, długą, tkaną z purpury, haftowaną złotem. Na głowie złocista jaśniała czapka.

Dalej znowu postępowali kapłani, potem westalki, t. j. pogańskie zakonnice, pomiędzy którymi szedł wóz z najwyższą świętością Rzymu: *Palladium*. Potem jeszcze obrazy i posągi bożyszcz i ołtarze wieziono.

Wreszcie pochód kończył dwór cesarza i olbrzymi tłum ludu, ciekawie przypatrującego się tej uroczystości.

Pochód doszedł aż do Kapitolu, gdzie była wielka świątynia boga Jowisza. Tam to spełniał Neron, jako najwyższy kapłan, ofiarę o wschodzie słońca.

Po skończeniu wielkiej uroczystości, ten sam pochód ruszył do cyrku wielkiego, gdzie dnia tego miały być igrzyska dla ludu.

Igrzyska w cyrku odbywały się kosztem cezara, który na to wydawał ogromne sumy, aby tylko lud zabawić, a i dla siebie znaleźć rozrywkę. Sprowadzał dzikie zwierzęta z Azji i Afryki, miał gladyatorów wyuczonych w zapasach krwawych, słowem nie szczędził nigdy na tę rozrywkę, którą Rzymianie ogromnie lubieli.

Niewolnicy Pomponii Graeciny, a między nimi i Julius dostali się do cyrku, aby się igrzyskom przypatrzeć.

Była to olbrzymia okrągła budowa, w której mogło się pomieścić sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi. Dokoła amfiteatralnie wznosiły się stopnie, na których siadano. Dziś wszystkie miejsca były zajęte.

Na dole była t. z. *arena*, miejsce równe, płaskie, przeznaczone na igrzyska. W pośrodku areny było murowane wzniesienie zwane *spina*, ozdobione ołtarzami, kolumnami z drogich marmurów i tronem cezara.

Neron zasiadł na tronie i oczekiwano widowiska.

Na arenę, wysypaną piaskiem z Nilu, minią i złotem, wjechały piękne dwukołowe wozy, za-

przeżone dzielnymi końmi. Ustawiły się równo w szeregu i na dany znak rozpoczęła się gonitwa dookoła owego wzniesienia. Konie pędziły jak szalone, nie jeden wóz roztrzaskał się na zakręcie o mur spiny, woźnica padając rozbijał głowę na kawały. Ale lud na to nie zważał wcale, czekając końca gonitwy, kłócąc się o to, kto zwycięży. Wreszcie już siódmy raz pędziły wozy dookoła spiny, smukły, a pięknej budowy woźnica stanął u mety. Posypały się oklaski, kwiaty i pieniądze w nagrodę zwycięzcy.

Potem nastąpiły walki gladyatorów. Julius patrzył, czy nie ujrzy brata, lecz ten jeszcze nie występował na igrzyskach, musiał się wpierv uczyć robienia mieczem. Zdawało się wszakże Juliusowi, że widział brata w głębi korytarza, wiodącego do areny cyrkowej i przypatrującego się zapasom gladyatorów.

Zwycięzca w walce gladyatorów dostał wiele pieniędzy w nagrodę, a Neron go wyzwolił.

Julius przypatrywał się uważnie zwycięzcy i myślał, że może jego bratu uda się kiedy także zwyciężyć i zostać wolnym... O, jakże by im wtedy było dobrze. Brat by go wykupił od dobrej pani, a może by ona sama obdarzyła go wolnością i poszliby do ojczyzny swojej...

Serce żywiej uderzyło pocziwemu chłopcu na samą myśl o takim szczęściu.

Ale nie miał czasu do długiego myślenia.

Arena zmieniała się szybko, że jej prawie poznać nie było można. Pownoszono wielkie drzewa zielone; utworzono z nich las cały.

Julius patrzył, co teraz będzie.

Jacyś ludzie weszli na arenę, znikając pomiędzy drzewami. Lud oczekiwał z niecierpliwością. Wtem usłyszano ryk dzikich zwierząt.

Z otworów ciemnych, umieszczonych z boku areny, wypadły lwy, tygrysy i hyeny. Ludzie, którzy stali pomiędzy drzewami wystąpili naprzód. Zwierzęta rzuciły się na nich. Walka trwała dłużej, lub krócej, w miarę sił ludzkich, ale w końcu zwierzęta zwyciężyły. Krew polała się po arenie, dzikie bestye rozszarpały ludzkie ciało, poiły się świeżą krwią.

Lud śmiał się z radości, a Julius uczuł dreszcz w całym ciele, patrząc na dzikie rozpasanie tej publiczności rzymskiej, która śmiała się na widok strasznej śmierci bezbronnych. On, słowianin, z natury łagodny, chociaż w lasach wychowany, wzdrygał się na takie straszne widowisko i dziwnem mu się wydawało, dla czego Rzymianie wszystkie narody inne, oprócz siebie, nazywali barbarzyńskimi. Myślał nad tem, czy istotnie

barbarzyństwem było życie jego braci, cichych, spokojnych, nie żadnych krwi ludzkiej?

Ale jeszcze nie koniec widowiska. Za danym znakiem cezara wypędzono zwierzęta, wyniesiono drzewa, na arenie było znów pusto. Wtem gdzieś z pod ziemi wytrysnęła woda i szybko zaczęła zalewać arenę. Wkrótce na piaskach powstało jezioro, wypłynęły wspaniałe łodzie, pełne zbrojnych, którzy zaczęli walkę morską. Widowisko było wspaniałe.

Lud cieszył się, klaskał, wznosił okrzyki na cześć boskiego cezara (bo tak go nazywano) i ani się spostrzeżono, jak na jasnym niebie ukazały się gwiazdy.

Cezar dał znak, lud opuścił cyrk, spiesząc do domów.

Na ulicach zrobiło się gwarno. Opowiadano sobie o igrzyskach, chwalono zręczność woźniców, waleczność gladyatorów, cieszą się jeszcze przypominaniem tego, co widzieli.

Julius wracał ze swymi towarzyszami do domu. Żaden z nich nie był bardzo uradowany widokiem dzisiejszych igrzysk. Trochę im się to podobało, lecz widok niewolników, rozszarpywanych przez dzikie zwierzęta, zgrozą ich przejął. Oni najlepiej to zrozumieli, bo sami byli niewolnikami i dziękowali bogom, że im dał tak dobrą

panią i dozorcę ludzkiego, który ich nawet biczem nie smagnał.

Julius był ze wszystkich najsmutniejszym. Myślał o bracie swoim ukochanym, o jego losie przyszłym; bał się, by i on nie zginął marnie na arenie cyrkowej.

Zobaczmy teraz, co się dzieje z Rufinusem.

Wesoły Grek wszędzie sobie dawał radę. Był sprytny, nigdy nie tracił fantazyi, zawsze wiedział co komu odpowiedzieć, więc rychło go na dworze cezara polubiono. Zrazu był daleko od swego pana. Senatorowie tylko i powiernicy cezara bawili się nim, a on ich nie raz rozśmieszał. Dano mu szaty ładne, jadła miał pod dostatkiem, nie troszczył się o to, co będzie jutro. Taka to już była wesoła, a może lekkomyślna natura. Ciągłe się spodziewał, że mu będzie jeszcze lepiej, że kiedyś odzyska wolność. Myślał nawet, że wtedy powróci do pięknej Grecyi, w której się wychował i kochał ją, chociaż tam był ubogim i niewolnikiem.

Spory kawał czasu upłynął mu na takim życiu, gdy pewnego razu spostrzegł go Neron. Przypomniał sobie, że go kiedyś widział.

— Dawno jesteś na moim dworze? — zapytał Neron.

— Odkąd mi pozwoliłeś boski cesarze oglądać swoje oblicze — odpowiedział Grek niezmięszany.

— Nie widziałem cię.

— Dla mnie dość, że ja mogłem oglądać ziemskiego boga. Jest nas tu tylu, nic więc dziwnego, że mię nie spostrzegło oko cesara.

— Jakże ci się tu podoba?

— Myślę sobie, że nie mogąc być cesarem, chcę być przynajmniej jego niewolnikiem.

— W Grecyi uczyłeś się pochlebstwa? — pytał cesar.

— W Grecyi uczą poznawać i kochać sztukę, a ty, boski cesarze, jesteś największym na ziemi artystą, więc cię dusza Greka zrozumieć i uwielbiać musi.

Neron uśmiechnął się. Był zarozumiałym i zdawało mu się, że jest wielkim artystą. Deklamował, śpiewał, grał, rzeźbił, nawet wiersze pisał i cieszył się bardzo, gdy słyszał pochwały.

Wiedział o tem Rufinus i dla tego tak przemawiał do cesara, spodziewając się zyskać jego łaskę.

Nie zawiódł się. Od tego dnia kazano mu być w pobliżu Nerona, który z nim często rozmawiał. Rufinus bawił pana dowcipami i ciągłą wesołością, której mu nigdy nie brakło. A Ne-

ron wesołości potrzebował, bo choć miał dwór bardzo liczny i zabaw wymyślał tysiące, nudził się jednak czasami. Rufinusowi udawało się rozweselać pana w takich chwilach. Nie raz nawet towarzyszył Neronowi w nocnych wycieczkach, których cesarz nie chciał zaniechać, pomimo, iż narażał się na niebezpieczeństwa.

Raz, zmęczony całonocną uczcą, leżał Neron, myśląc jakoby wynaleść zabawę. Rufinus był koło pana.

— Słuchaj Greku — rzekł Neron — nudzę się.

— To źle.

— Poradź mi co.

Rufinus udał że myśli.

— No, cóż, nie wymyślisz nic?

— Owszem, znam jeden sposób.

— Jaki?

— Zostań boski cesarzem niewolnikiem, a mnie pozwól być cesarzem.

Neron uśmiechnął się, z czego Rufinus bardzo był rad.

— Cóżbyś uczynił, będąc cesarzem? — zapytał Neron.

— Gdybym miał przy sobie takiego biednego Rufinusa, wyzwoliłbym go.

— I zrobiłbyś go senatorem?

— Nie. Tacy jak Rufinus są na to, aby cezara bawili, a senatorowie nudzą go.

Cezar zaśmiał się. Widocznem było, że już przestał się nudzić.

— Widzisz, zapomniałem, żeś ty jeszcze niewolnikiem. Od tej chwili liczysz się do wolnych.

Rufinus upadł do nóg cezara.

A więc osiągnął to, czego pragnął. Teraz miał już pewność prawie, że zdobędzie z łaską cezara bogactwa i powróci do Grecyi wolnym. Ale teraz jeszcze nie myślał opuszczać dworu. Wesoło tu było, a jemu podobało się to życie, pełne zabaw nieustających.

Bo też takich wspaniałych uczt nie widziano nigdzie na świecie, jak były na dworze Nerona. Cezar ten o niczem więcej nie myślał, jak tylko o zabawach. Pałac jego przepyszny ciągle rozbrzmiewał odgłosem muzyki, śpiewów i hałasu biesiadujących. W ogrodach urządzano nocne uczyty przy świetle barwistych lamp, a cezara nazywał siebie bogiem ziemskim i starszym, potężniejszym nawet od bogów pogańskich, mieszkających według podań greckich na górze Olimpie.

Sprawy państwa nie wiele obchodziły cezara. Nie był jednym z tych monarchów, którzy pracują dla dobra swoich poddanych i o ich los się troszczą, przeciwnie, on ich tylko wyzyskiwał,

zabierał olbrzymie sumy pieniędzy, ażeby mieć za co sprawiac igrzyska i biesiady. Nikt nie śmiał się opierać woli cezara; każdy w proch przed nim się zniżał; słuchali go pokornie i dogadzali jego zachciankom. Najbliżsi doradcy myśleli tylko nad tem, jakby swego pana zabić, wyszukać mu nową rozrywkę. Nikt uczciwie nie chciał radzić, chociaż wielu widziało, że w państwie źle się dzieje, a szalony zbytek zuboży ludność. Byli wprawdzie tacy, którzy czasem powiedzieli cesarowi słowo prawdy, lecz on, albo karał surowo za taką śmiałość, albo też wyśmiewał się i dalej robił jak dotąd.

Do takich uczciwych, a rozsądnych ludzi należał filozof, Lucius Seneca, który był niegdyś nauczycielem Nerona.

Cesar śmiał się z jego rad i nauk i kazał mu się bawić wesoło, a o niczem innem nie myśleć.

To też Seneca wolał milczeć, widząc, że słowa jego nie znajdują posłuchu, że dobre rady idą na marne. Musiał uczestniczyć w zabawach hucznych, bo tak chciał cesar, ale mu tam duszno było i wolał umknąć do swej pięknej willi za miastem.

Był jeszcze ktoś, kto rozumiał, że Neron źle czynił i sam sobie i państwu gotował zgubę. Była to matka Nerona, Agryppina.

Jej zawdzięczał tron cesarów, a jednak zostawszy panem samowładnym nie chciał jej słuchać, pomimo, że radziła mu dobrze.

Kilka razy posprzeczał się z matką, zapominając o szacunku synowskim i miłości. Nawet zakazał matce przybywać do Rzymu, dając jej na mieszkanie odległą willę. Agryppina usunęła się od dworu, bolejąc nad tem, co się tam działo, ale wiedziała, że z upartym i samowolnym synem nie da sobie rady. Przykro było matce bardzo, że syn wzgardził jej radami, chociaż ona mu tak dobrze życzyła. Ale on wolał słuchać zauszniaków podłych, którzy doradzali mu same złe rzeczy i podbudzali w nim okrucieństwo.

Do takich fałszywych, a nikczemnych doradców należał Sofonius Tigellinus, murzyn wyzwolony przez Nerona. Bez niego nie mógł się teraz cesar obejść. On urządzał wszystkie zabawy, on radził o wszystkim, a zły był i niegodziwy. Każdego, kto mu się nie podobał, kazał zamordowywać. Neron pozwalał mu na to.

To też wszyscy bali się Tigellinusa i płaszczyli się przed nim; składali mu obfite dary i pochlebiali mu bardzo, byle tylko mieć jego łaskę.

Tigellinus nie odstępował cesara ani na krok, udając wiernego i prawdziwego przyjaciela.

Wszystko wszakże, co ten murzyn doradził, było złe i niegodziwe.

Agryppina dowiedziawszy się o tem, przybyła do Rzymu, ażeby raz jeszcze upomnieć syna, przestrzedz go przed nikczemnymi doradcami, nawrócić na dobrą drogę.

Ujrawszy matkę, rozgniewał się Neron.

— Prosiłem cię, matko, abyś do Rzymu nie przybywała. Spokój mi zakłócasz, zabawę zasepiasz, a ja chcę się bawić...

Matka spojrzała na syna z wyrzutem.

— I ty mi to mówisz, synu mój, którego wychowała, abyś był cezarem. Takaż to wdzięczność? Czyż to być może, aby widok matki psuł synowi wesołość?

— Tak jest, jak mówiłem — rzekł niechętnie Neron.

— A pomimo tego jam tu przybyła, aby z tobą pomówić, aby ci przypomnieć, że za wiele złego robisz.

— Robię to, co mi się podoba!

— Pomnij na to, czy działasz na użytek Rzymu?

— Rzym? — powtórzył syn ze śmiechem — alboż ty nie wiesz, matko, że świat cały istnieje dla Rzymu, a Rzym dla mnie tylko!

— Poprzednicy twoi kochali ten Rzym i dla jego dobra żyli...

— A dziś jest i musi być inaczej, musi być tak, jak ja chcę!

— Dzieje się tak, jak chcą twoi zausznicy, doradcy fałszywi i nikczemni, którzy u ciebie więcej znaczą, aniżeli matka kochająca.

Nikt nie widział, jak w tej chwili za kotarą błysnęło zrowrogo dwoje oczu, jak się dziko ktoś zaśmiał i zgrzytnął zębami. Tam był ukryty Tigellinus i podsłuchiwał rozmowę Nerona z matką.

Neron matki usłuchać nie chciał; gniewał się na nią za jej rady dobre. Opuściła więc pałac Agryppina, wracając do swej zacisznej willi. Smutna była bardzo i łzy miała w oczach, gdy po raz ostatni spojrzała na wspaniały pałac Nerona.

Cezar, jakby chciał zagłuszyć wyrzuty sumienia po tak niegodziwem obejściu się z matką, kazał przygotować ucztę wspaniałą, zwołać na nią dworzan i pochlebców, których mu nie brakło nigdy.

— Tigellina zawołać, on jeden potrafi to wszystko urządzić! — krzyknął Neron.

Ale Tigellinus gdzieś zniknął, nie można go było odszukać. Wreszcie zjawił się uśmiechnięty, z wyszczerzonymi białymi zębami.

— Hej, murzynie, zaczynasz mi się psuć, czekam tu na ciebie, a ty gdzieś się włóczysz! — zawołał Neron.

— Myślałem o tobie, boski cesarze, chociaż mię tu nie było.

Głos murzyna drżał lekko, lecz cesarz tego nie uważał.

— Ucztę mi gotuj, chcę się bawić wesoło!

Tigellin skłonił się nisko i zniknął za zasłoną.

Nie wiele czasu upłynęło, a pałac Nerona zabrzmiał weselem biesiady.

W ogromnej, wspaniałej sali zastawiono stoły z kosztownego drzewa, uginające się pod ciężarem złotych naczyń, pełnych najwybredniejszych potraw i napoi. Zwierzynę i ryby zwożono dla Nerona z całego świata, wina również, bo obok zbyt kosztownego jadła pito wiele. W złotych dzbanach stało wino grzane, przesypane liśćmi z róż i jaśminu, potrawy na misach dymiły się; biesiadnicy zaczęli ucztować.

Neron leżał na wspaniałym łożu złotem, wysadzane perłową masą i drogimi kamieniami. Łoża takie, zwane *triclinium*, były szerokie na trzy osoby. Obok cesarza spoczywali jego najbliżsi przyjaciele, których darzył swą łaską, a oni go za to musieli bawić. Reszta biesiadni-

ków także wygodnie na łóżach spoczywała, bo zwyczajem było u Rzymian jeść i pić leżąc.

Mężczyźni mieli głowy postrojone wieńcami z róż; szaty ich bogate kapały od złota. Neron okryty był togą [purpurową, obszytą dokoła złotem.

W kosztownych świecznikach paliły się wonne oliwy, dym kadzideł unosił się w górę, napełniając salę wonią rozkoszną. Tanecznice tańczyły przy głosie fletów, Grecy deklamowali znakomite poezye, dowcipnisie żartowali wesoło.

Neron patrzył obojętnie dokoła. Nie bawiły go tańce ani muzyka, nie cieszył widok ścian, przepysznyemi zawieszonych makatami. Dał ręką znak, makaty okrywające ściany gdzieś znikły, a oczom biesiadników przedziwny przedstawił się widok. Wszystkie ściany wyłożone były olbrzymiemi zwierciadłami, w których odbijała się wielekroć cała sala. Widok to był wspaniały.

Wszędzie pełno złota, klejnotów, kwiatów, woni i muzyki, ale Nerona dziś to nie cieszyło. Nudził się. Nawet Rufinus nie mógł go zabić.

Z nudów więc zaczął cesarz pić mocne wino, aż mu się policzki zaogniły, a oczy dziwnie błyszcząły.

Powstał z łoża, kopnął nogą drzewo pełne owoców, które na srebrnych kółkach obok niego stało, zachwiał się na nogach, kazał sobie podać lutnię i przy jej dźwięku, ochryplym głosem, deklamował po grecku.

Biesiadnicy klaskali głośno, chwając głos cezara. Wołali, że na świecie nie ma tak wielkiego artysty, a nawet sam bóg—Apollo tak doskonałym artystą nie jest.

Neron był zadowolonym.

Jeden tylko Seneca uśmiechnął się szydersko, bo wiedział, co te pochwały znaczą. Znał dobrze tych pochlebców fałszywych.

Uczta trwała do rana.

Przez okna wdzierał się do sali brzask dnia, gdy u drzwi pokazał się niewolnik strwożony. Wszyscy ku niemu zwrócili oczy.

— Czego chcesz? — zawołał Neron.

— O, boski cesarze, panie,... fale wody rzuciły na marmurowe stopnie pałacu zwłoki jakieś.

Tigellinus dziwnie się uśmiechnął.

— Cóż to za gość wodą przybywa na naszą biesiadę? — zawołał Neron. — Pójdźmy zobaczyć.

Chwiejącym krokiem szedł naprzód. Za nim wszyscy pijani biesiadnicy wyszli. Świeże powietrze, chłodem wiejące od strony wody, orze-

zwiło ich trochę. Zwolna schodzili po marmurowych stopniach na dół.

Neron, wsparty na ramieniu młodego chłopca, ze zwojem pergaminu w ręku, szedł naprzód. Niedaleko za nim postępował Seneca.

Już do ostatnich stopni zbliżał się Neron, gdy nagle wstrzymał się, jakby rażony piorunem. Oczy stanęły mu w słup, twarz winem rozpalona zbladła, tylko odblask purpurowej togi na nią padał. Patrzył nieruchomie w jeden punkt.

Na najniższym stopniu, wyrzucone przez fale, leżały zwłoki kobiety. Okrywały ją szaty drogocenne, tkane złotem; we włosach tkwiły ozdoby złote i lilie białe wodne. Twarz była blada, a jednak bardzo piękna.

Neron nie mógł dalej postąpić.

— Agryppina!... — wybełkotał pomieszany.

Seneca zbliżył się nieznacznie do Nerona i cicho mu szepnął:

— Matka po śmierci jeszcze przychodzi cię upomnieć. Korzystaj z przestrogi póki czas; potem może być za późno...

Ale cesarz zdawał się nie słyszeć tych słów.

Tymczasem słudzy podnieśli ciało utopionej.

Biesiadnicy otrzeźwieli zupełnie. Widok ten zgrozą ich przejął. Nie wiadomo, czy ta śmierć była przypadkowa, czy też ręka zbrodniarza

popchnęła nieszczęśliwą kobietę w tonie wód. Niektórzy spoglądali ku Tigellinusowi. On stał spokojny, z założonemi rękami, patrząc przed siebie.

Zwłoki ułożono na wspانياłem łożu.

Cezar milczał z przerażenia, czy żalu.

Pogrzeb wyprawiono wystawny, ale na dworze Nerona nic się nie zmieniło. Ten sam zbytek panował ciągle, zabawy następowały po zabawach, jakby nic więcej nie było na świecie do roboty, jak tylko bawić się bez końca.

Rzym cały oddawał się szalonym zbytkom, a nie wielu było takich, którzyby chcieli żyć skromnie i cicho. Takich zresztą Neron nie lubiał, bo zdawało mu się, że ich życie jest jakby wyrzutem dla niego. Chciwy cesarz nie rzadko za byle podejrzeniem wydawał wyroki śmierci, a majątek skazanego zabierał dla siebie, aby móżdż tracić ogromne sumy na zbytki. Pochlebcy oskarżali swoich nieprzyjaciół przed Neronem, a on skory był do wierzenia swoim zaufanym, chociaż niegodziwym doradcom.

Komu się życie ówczesnego Rzymu nie podobało, zamykał się w domu, nie wychodząc z niego prawie. Do takich należała właśnie zacna wdowa, Pomponia Graecina. Zaledwie mała ilość osób znajomych odwiedzała ją, a wszyscy ci ludzie byli do niej z usposobienia podobni.

Juliusowi takie życie podobało się bardzo, bo chociaż nie dawno był w Rzymie, rozumiał, że zbytek straszny i ciągle zabawy złe są i muszą kiedyś bardzo smutne spowodować następstwa. Jemu w tym domu było dobrze, bo spokój i ciszę lubiał, a czuł to, że chyba nigdzie tak po ludzku, łagodnie, nie obchodzono się z niewolnikami. Nawykł już tak do swojej doli, że prawie nie myślał o jej zmianie. Do domu i pani przywiązywał się coraz bardziej; dozorcę szanował, jako człowieka dobrego; z towarzyszami żył w zgodzie i przyjaźni.

Od pewnego czasu wszakże, spostrzegł w życiu domowem zmianę, która go zdziwiła. Jacyś ludzie przychodzili tu coraz częściej i długo bawili na rozmowie z Pomponią Graeciną, która mile ich witała. Ludzie to byli rozmaici, a jak łatwo Julius poznał, nie bogaci wcale, więc pewno ani krewni, ani powinowaci gospodyni domu. Nieraz, gdy ci goście przybyli, dozorca niewolników szedł z nimi do pani, a wracał do swej komnaty dopiero po ich odejściu.

Zdziwiło to nie jednego Juliusa tylko; wszyscy niewolnicy mówili o tem, jako o rzeczy ciekawej, a niezrozumiałej dla nikogo. Dozorca ich, chociaż już wyzwolony, ale zawsze sługą był i nigdy dawniej tak często z panią nie rozmawiał, nigdy

u niej tak długo nie siadywał, osobiwie, gdy ona miała gości. A teraz, wszystko się zmieniło w obyczaju domowym.

Ciekawiej też przypatrywano się owym gościom, aż raz któryś z niewolników poznał w jednym z nich — Hebrejczyka.

Opowiedział to zaraz swym towarzyszom, którzy tak samo, jak on, ogromnie się zdziwili. Hebrejczycy bowiem w owych czasach byli przez Rzymian pogardzani, a nawet nie wolno im było mieszkać w mieście. Wypędzano ich nie raz, a tylko bogaci okupywali się i zostawali dalej.

Od pewnego czasu dziwne rzeczy opowiadano sobie o Hebrejczykach. Mówiono, że zbierają się po nocach i odprawiają jakieś tajemnicze obrzędy, przelewają krew ludzką i piją ją, a ciało jedzą. Miały to być obrzędy nowej jakiejś wiary, którą z Palestyny przywieziono. Tych, którzy takie obrzędy odprawiali, nazywano Nazareńczykami. Inni żydzi trzymali się dalej swej starej wiary, którą Rzymianie znali dobrze.

Z początku nie wiele uwagi zwracano na tę nową sektę religijną, ale gdy dziwaczne pogłoski stawały się coraz głośniejsze, zaczęto śledzić Nazareńczyków. Jeśli który z nich złapany, nie chciał złożyć ofiary pogańskim bogom, zabijano go, jako wroga wiary i państwa.

Otóż dla tego właśnie tak się zdziwili niewolnicy Pomponii Graeciny, gdy w jej domu zobaczyli Hebrejczyka. Widziano go potem nie raz, a z nim przybywali inni.

Miałaby ich pani przyjąć nową wiarę, pytali po cichu?

Tymczasem w domu nie widać było nic złego. Owszem, Pomponia częściej rozmawiała z niewolnikami, a była dla nich zawsze dobra i łagodna, może nawet lepsza niżli dawniej. O tyle także zmienił się dozorca, który z domu rzadko i to chyba wieczorem wychodził, a z niewolnikami rozmawiał chętnie, do pracy ich łagodnie nakłaniał, uczył wielu rzeczy dobrych i pożytecznych; zachęcał aby żyli zgodnie i uczciwie. Niewolnicy przypatrywali mu się ciekawie i spostrzegli, że się znacznie odmienił. Mówił cicho, łagodnie, a czasem tylko, gdy im dawał nauki moralne, jaśniały mu oczy bardziej i głos stawał się niby gorętszy. Postępował tak, że go wszyscy jeszcze bardziej musieli szanować.

Owych tajemniczych gości bywało w domu Pomponii Graeciny coraz więcej. Niewolnicy nawykli już do tego, ale nie mogli się powstrzymać od ciekawości. Nikt wszakże nie śmiał podsłuchiwać, co się tam w komnacie pani działo. Spostrzeżono tylko, że wiele posągów bóstw po-

gańskich gdzieś zniknęło. Mogły się były popsuć, albo stłuc, ale w takim razie należało je zastąpić nowymi. Tymczasem pani jakby zapomniała o tem. Spostrzeżono również, że na ołtarzu domowym dawno nie palił się ogień ofiarny; ognisko wygasło zupełnie.

Zaczęto szeptać sobie na ucho, że pewno Pomponia Graecina przejęła nową wiarę i dawne zarzuca bóstwa. Dziwnem się to wydawało niewolnikom, ale że nikt z nich na tem nie cierpiał, milczeli. Raz przecię któryś z niewolników zapytał dozorca, czy nie wie nic o tych ludziach nowej wiary, którzy od Boga swego Chrystusa, chrześcianami się nazywają.

— Alboż to trudno o nich wiedzieć? — rzekł dozorca. — Pełno ich jest w Rzymie, wszyscy o nich mówią.

— Żli to mają być ludzie, krew ludzką piją, a ciało jedzą...

Dozorca spojrział na mówiącego, a oko dziwnie mu błysnęło.

— Widziałże który z was to, o czem mówisz?

— Nie widzieliśmy wprawdzie, lecz tak mówią...

— Więc lepiej się wypytaj tych, którzy Chrześcian znają, zanim będziesz ich obgadywał.

— A wy nie moglibyście nam opowiedzieć, jacy to są ci chrześcianie?

— Mało ich znam — odrzekł dozorca — ale to, co wiem na pewno, wcale złe nie jest. Nie używają oni krwi od swoich ofiar nietylko ludzkiej, ale nawet bydłowej. Ludzie to są cisi i zacni; chwalą swego Boga, a żyją przykładnie i w miłości bratniej.

— Czemuż o nich tak wiele złego mówią?

— Czemu? — powtórzył dozorca — alboż to teraz w Rzymie o ludziach dobrych mówi kto dobrze?! Zapytajcie, czy kto pochwali panią naszą za to, że swych niewolników nie męczy w ciemnicach, że ich nie zabija za byle przewinienie, a daje im pożywienie dobre i odzież czystą?

— Ganią jej to i śmieją się z tego.

— Więc czy mogliby chwalić chrześcian, którzy każą każdego człowieka kochać jak brata, a niewolników nie znają wcale, bo u nich Bóg jest jeden, a wszyscy ludzie dziećmi jego!

— Dziwni ludzie... — mówili do siebie niewolnicy.

— Poszukajcie tych chrześcian i przypatrzcie się jak żyją, a wtedy powiedzcie, czy są źli.

Słowa te mówił dozorca z wielkim zapałem; twarz mu się rozjaśniła. Niewolnicy patrzali na

niego ze czią i bardziej go jeszcze miłowali za to, że nie ganił tych, którzy nawet w niewolnikach widzą ludzi i braci. Podobała im się ta nauka nowa, którą mało jeszcze znali. Nic dziwnego, że dla niewolników była ta nauka zbawienna, bo zapowiadała im wyzwolenie.

Nie myśleli już teraz, czy Pomponia Graecina jest chrześcianką, wiedzieli tylko, że nowa wiara nie gorszą jest od tego, co ich pani z niewolnikami czyniła. Ona dawno już okazywała wiele dobroci dla tych biednych ludzi i litowała się nad ich niedolą, więc czyniła tak, jakby przeczuwała tę nową naukę. Jej wyzwoleniec, dozorujący niewolników, czy to z własnego serca, czy z rozkazu pani także był dobrym. Więc chyba wiara, którą on chwalił, nie mogła być złą.

Odtąd na twarzach niewolników Pomponii Graeciny widać było częste zamyślenie. Pracowali pilnie, zachowywali się uczciwie; ciekawi byli nowej wiary, lecz nie śmieli o nią więcej pytać dozorczy. Bali się go rozgniewać zbytnią ciekawością.

Na chwilę wszakże zapomnieli o tem wszystkim, bo ich uwagę zajął wypadek nowy.

Chociaż roboty w domu Pomponii nie było wiele, a niewolnicy mogli jej bez zbytniego trudu wydołać, pewnego dnia zjawili się dwaj nowi nie-

wolnicy. Zdziwiło wszystkich po co ich dozorca kupił, kiedy rąk było do pracy aż nadto, a ci dwaj nowi wcale nie zdolni byli do roboty ciężkiej.

Obaj byli już nie młodzi, jeden nawet dobrze posiwiał. Trudno było odgadnąć z kąd pochodzili. Obaj mówili dobrze językiem łatyńskim i greckim. Ale nie było to w owych czasach nic nadzwyczajnego. Sprowadzano do Rzymu niewolników ze wszystkich stron świata, nie mało między nimi było Greków, którzy wyuczali się języka łatyńskiego. Może więc i ci dwaj z Grecyi pochodzili.

Przypatrywano się nowym towarzyszom ciekawie, bo nie byli do innych podobni. Cisi, skromni a pracowici, cały dzień oddawali się pracy, ile im sił starczyło. Starszy, chociaż widocznie nie bardzo mocny, pracował bez szemrania, a kiedy ocierał pot z czoła, uśmiechał się łagodnie. W jadłe i napoju był wstrzemięźliwy, tak jak i towarzysz jego.

Poznawszy się z towarzyszami niewoli, od razu zdawali się życzliwi dla nich. Podczas pracy mało mówili, dopiero wieczorem chętnie wdawali się w pogadankę. Mówili spokojnie, łagodnie, zrozumiale dla wszystkich, a jednak słowa ich dziwnie brzmiały w uszach niewolników. Nikt

nie śmiał ich zapytać jakiej byli wiary, nie widziano wszakże, ażeby składali ofiary bogom pogańskim. Czasem wieczorem znikali gdzieś i dopiero późno w noc powracali. Zdawało się, że wtedy byli weselsi i jeszcze gorliwiej na drugi dzień pracowali, a chętniej w czasie wypoczynku rozmawiali z towarzyszami.

Wkrótce wszyscy niewolnicy pokochali tych dwóch nowych braci i szanowali ich. Julius najbardziej do nich przylgnął. Oni też wiele z nim rozmawiali, przyciągali go do siebie; on słuchał ich z uwagą, oczy mu się rozjaśniały i radby był słuchać bez końca.

Dozorca obchodził się z nowymi niewolnikami tak samo łagodnie, jak z innymi, ale łatwo podpatrzono, że na osobności rozmawiał z nimi gorąco i wtedy on przy nich wyglądał jakby sam był niewolnikiem, a oni jego panami.

Na takim życiu cichem a pracowitem, upłynął spory kawał czasu.

Rzym bawił się i szalał, ale odgłos tych zabaw nie dolatywał prawie do ustronnego domu Pomponii Graeciny. Raz wszakże, przyniósł dozorca niewolnikom od pani pozwolenie użycia swobody i zabawy. Właśnie na dzień ten zapowiedziano igrzyska w cyrku. Najmilsza to była rozrywka Rzymian, a niewolnicy Pomponii, któ-

rzy upijać się nie lubieli, wybrali się także do cyrku.

Julius poszedł wraz z innymi, mając nadzieję ujrzenia brata.

Cyrk był napełniony ludźmi po brzegi. Hałas i gwar ogłuszył nawykłego do spokoju Juliusa. Patrzył na arenę, wyczekując ukazania się gladyatorów. Może pomiędzy nimi będzie brat jego, może zwycięży w zapasach i zyska łaskę cezara, zostanie wolnym. Serce biło w piersi Juliusa jak młotem. Spojrzył w stronę, gdzie z dworem swoim siedział Neron. Nie znał tam nikogo, a jednak ciekawie przypatrywał się bogatym towarzyszom cezara.

Wtem ujrzał kogoś, kto zda się był mu znany. Był to mężczyzna średniego wzrostu, o pięknej greckiej twarzy, strojny wspaniale w togę wyszywaną złotem. Na palcach miał błyszczące pierścienie, złocisty pas ukazywał się z pod togi.

Julius wpatrzył się w niego, jakby nie dowierzał własnym oczom. A jednak nie mylił się. Ten pan bogaty, wyglądający jak patrycyusz, pochodzący z zamożnej starożytnej rodziny, był to Rufinus, grecki niewolnik, towarzysz Juliusa i jego brata.

A więc, myślał Julius, stało się jak Rufinus przeczuwał, został wyzwolonym, bogatym i sie-

dzi w pobliżu Nerona, który się do niego zwraca i rozmawia z nim. Julius nie był zazdrośnym, a jednak widok dawnego towarzysza przykry mu był w tej chwili. On nie zapomniał przyrzeczeń Rufinusa, a ten ich przecie nie dotrzymał. On tam teraz bogaty, siedzi uśmiechnięty obok cezara, a ci, którym obiecywał wolność cierpią niewolę. Dola Juliusa była znośną, ale brat jego biednym musiał być bardzo, jako gladyator.

A może Rufinus go uwolnił? Ej nie, myślał poczciwy chłopiec, bo gdyby tak było, pewnoby Lucius brata odszukał, dałby mu znać o sobie.

Myśl smutną nad niewdzięcznością ludzką przerwało wejście gladyatorów. Julius wzrok wyteńczył. Brata jego nie było. Nie zajmowały go więc ich zapasy, nie klaskał z innymi zwycięzcom. Czekał co będzie dalej, spoglądając często w stronę Rufinusa.

Po skończonej walce gladyatorów, ruch jakiś dziwny zrobił się w cyrku. Wszyscy patrzali ku małym drzwiczkom z boku areny. Czekali dość długo. Wreszcie drzwi otworzyły się.

Na arenę weszło kilku ludzi, jakich nigdy jeszcze w cyrku nie widziano. Byli spokojni, łagodni; wcale nie tak wyglądali jak bestyarze, to jest ci, którzy walczyli z dzikimi zwierzętami.

Po co ich tu sprowadzono, myślał Julius,

przypatrując się dwom siwym starcom, chłopcu szesnastoletniemu, młodej dziewczynie i starszej kobiecie. Co tu z nimi poczną?

W cyrku powstał głuchy szmer.

— To chrześciance! — mówiono dokoła.

Julius teraz dopiero rozumiał, że to tych ludzi nowej wiary wyprowadzono na śmierć, aby się lud rzymski zabawił.

Istotnie tak było.

Wpuszczono dzikie zwierzęta, lwy, tygrysy, pantery.

Publiczność oczu nie odwracała od areny.

Chrześciance nie zadrżeli nawet na widok strasznego niebezpieczeństwa. Stali razem w małej gromadce, patrząc na siebie. Potem padli sobie w ramiona, ucałowali się, przyklękli i widać było, że się modlą.

Dzikie bestye przysiadły do ziemi, jakby wahając się.

Chrześciance zaśpiewali cicho jakąś pieśń pobożną, nieznaną.

Publiczność zaczęła się niecierpliwić. Chciano walki, a tu ci ludzie nie myśleli bronić swego życia, spokojnie, modląc się oczekiwali śmierci. Powstał gwar.

Zwierzęta jakby obudzone tym hałasem, ruszyły naprzód. Pierwszy tygrys rzucił się na

młodą dziewczynę i rozszarpał ją. Za jego przykładem skoczyły inne zwierzęta.

Chrześcianie modlili się do ostatniej chwili; skonali z uśmiechem.

Tłum był niezadowolony z takiego igrzyska. Zabawniejsza była walka bestyarzy, którzy bronili życia zawzięcie — a ci chrześcianie ani pomyśleli o walce. Ich śmierć męczeńska nikogo nie zadowoliła.

Juliusowi zrobiło się bardzo smutno. Jego widok ten przeraził. Uczuł litość dla tych nieszczęśliwych ofiar dzikiego pospólstwa; zaczął szanować chrześcian, którzy mu się wydali prawdziwymi bohaterami.

Hałas w cyrku powstał wielki; nikt nie ukrywał niezadowolenia, nawet w obec cezara. Domagano się jeszcze igrzysk, ale innych, zabawniejszych.

Neron dał znak, po chwili uprzątnięto arenę z resztek kości i szat męczenników, posypano ją białym piaskiem, przywiezionym z Nilu i wystąpili nowi gladyatorowie.

Julius spojrzął na arenę.

Serce w nim zakołatało strasznie. Tam, pomiędzy gotowywi do walki, stał jego brat...

Ogromna jego postać wyróżniała się nawet pomiędzy gladyatorami. Z pod brązowego heł-

mu spływał mu jasny włos na ramiona, tarczą okrywał pierś szeroką, miecz trzymał w dłoni, oczekując znaku cezara.

Zaczęto walczyć.

Julius patrzył, jakby od wyniku tej walki zależało życie jego.

Lucius stał się z przeciwnikiem; zachwiał go zrazu i postępował naprzód, przeciwnik usuwał się jakby słabszy. Ale walka trwała długo. Widać było, że obaj zapaśnicy dzielni. Jeden więcej umiał sztuki, drugi olbrzymią miał siłę.

Oczy wszystkich nie odrywały się od walczących. Sam Neron patrzył uważnie, a z nim i dwór jego.

Wtem ujrzał Julius, że brat jego się zachwiał; raz jeszcze uderzył mieczem w przeciwnika, ale ten odskoczył zręcznie na bok, znowu przypadł i od razu powalił Luciusa na ziemię.

Ryk zadowolenia powstał w cyrku. Posypały się kwiaty, oklaskom nie było końca. Julius widział, jak Rufinus śmiał się i klaskał. A on to był winien życie poległemu gladyatorowi i przyrzekał go wyzwolić, gdy sam będzie wolnym i bogatym.

Więcej nie widział już Julius nic. Oczy zasły mu łzami, w głowie mu się zakręciło, jęk bo-

leści wydarł się z piersi, ale nikt tego pewno nie słyszał, bo cyrk trząsł się od oklasków.

Znalazł się wszakże ktoś tuż obok Juliusa, który go wyprowadził z tłumu.

Na wolnem powietrzu odetchnął nieszczęśliwy i zapłakał gorzko. Towarzysz jego milczał. Dopiero po długiej chwili odezwał się Julius.

— Muszę pójść, niech mi bodaj wydadzą zwłoki brata, abym je uczciwie pogrzebał.

— Chodź, spróbujemy — rzekł tamten i powiodł Juliusa bocznymi korytarzami do ciemnej sali, w której czekali gladyatorowie.

Nie wiedzieli do kogo się udać, nikt tu z nimi nie chciał rozmawiać.

Julius błagał ze łzami, by mu oddano zwłoki brata. Śmiali się z niego i wypchnęli za drzwi.

— Pójdź bracie, u tych ludzi serca nie ma, nie wyprosisz nic.

— U boku cezara widziałem znajomego, który był jak ja niewolnikiem, a bratu memu życie zawdzięcza i pamięć obiecywał; pójdę do niego, on się ulituje nad smutkiem moim.

— Czy myślisz, że cię do niego dopuszczą? Wyzwoleńcy Nerona litości nie znają i z niewolnikami nie rozmawiają...

— Prawda, on śmiał się i klaskał, patrząc na

śmierć brata mego, a przecież ten go uratował od śmierci — mówił Julius przez łzy.

Towarzysz położył rękę na jego ramieniu.

— Pójdź bracie, tu ani serc, ani litości nie ma. Tu świat zwierząt dzikich, szalejących... Ale nie długo to potrwa. Runie cały ten gmach rozpusty i zbrodni, a zaświta jutrzienka życia lepszego... Bóg nasz wyzwoli biednych i cierpiących z tej strasznej niedoli i będzie spokój na ziemi i szczęśna dola stanie się udziałem tych, którzy dzisiaj płaczą i cierpią...

Julius spojrzał uważnie na mówiącego. Teraz dopiero poznał go. Był to ów stary niewolnik, którego tak polubił i szanował.

— O Bogu mówisz? O jakim?

— Widziałeś tych, którzy zginęli, rozszarpani przez dzikie zwierzęta? To bracia moi!

— Więc tyś chrześcianinem?

— Tak! — rzekł stary z mocą, a oko zajaśniało mu dziwnie.

— I nie płaczesz śmierci braci twoich?

— Czegoż mam płakać? Oni szczęśliwi, nie cierpią już, a teraz dopiero zaczynają najpiękniejszy żywot... wieczny.

— Po śmierci poczynają żywot wieczny... — powtórzył Julius — nie rozumiem tego.

— Tam na arenie pożarły zwierzęta ciało,

lecz nie zniszczyły duszy, która nie może być za-
bitą przez nikogo. Dusza ta żyje i szczęśliwą
jest.

— Dziwna to nauka.

— Święta i boska.

Julius zamyślił się. Słowa starego niewolni-
ka uspokajały go.

— Naucz mię tej wiary — rzekł po chwili.

— Chodź bracie miły do domu, tu mówić
niebezpiecznie; w spokoju opowiem ci wiele.

Odtąd silniejszy jeszcze węzeł połączył Juliu-
sa ze starym niewolnikiem. Po upływie pewne-
go czasu wymknęli się raz wieczorem z domu.
Stary prowadził Juliusa w nieznaną mu dzielnicę
miasta. Stanęli przed niskim domem. Na trzy-
krotne stuknięcie otworzyły się drzwi i Julius
ujrzał się w pośród ludzi najrozmaitszego ro-
dzaju.

Najwięcej było niewolników, lecz nie brakło
i wolnych, a nawet bogatych obywateli.

Jakże się zdziwił, zobaczywszy wpośród ko-
biet Pomponię Graecinę.

Było to zgromadzenie chrześcian.

Modlili się wspólnie; jeden ze starszych nau-
czał zgromadzonych, potem sam się modlił przy
stole, nakrytym białą chustą; błogosławił chleb

i wino i dzielił je pomiędzy zgromadzonych, którzy już chrzest przyjęli.

Dziwne, tajemnicze jakieś uczucie owładnęło Julusem. Czuł w sobie nieprzeparte pragnienie tego posiłku, który rozdzielano innym. Pragnął chrztu, aby rychlej mógł się stać bratem tej rzeszy wiernych, którzy modlili się do jednego Boga, nie kłaniali się posągom, miłowali się wzajemnie, jakby bracia rodzeni.

Wkrótce też potem przyjął chrzest, z czego się Pomponia Graecina bardzo radowała.

— Jesteś wolnym, mój bracie — rzekła mu — zechcesz, możesz odejść kędy ci się podoba...

— O nie, teraz nie odejdę. Sam pozostałem, brata mi zabili, do ziemi mojej daleko, a drogi nie znam... Tu znalazłem dom, rodzinę, braci... pozostanę...

Za przykładem Juliusa i inni niewolnicy Pomponii Graeciny zostali chrześcianami, lecz żaden z wolności nie korzystał, nikt domu jej nie opuścił. Odtąd stanowili jakby jedną rodzinę, kochającą się i wspierającą wzajemnie.

Liczba chrześcian w Rzymie była co dnia większa. Ukrywali się przed poganami, ale sami pomiędzy sobą znali się i wspólnie gromadzili na nabożeństwa. Dom jeden nie mógł ich po-

mieścić, dzielili się więc na gromadki i w rozmaitych miejscach zbierali.

W Rzymie coraz więcej o chrześcianach mówiono i prześladowano ich. Wielu już spoczęło na stosie, lub padło pastwą dzikich zwierząt. Zaczęto podpatrywać gdzie się chrześcianie zbierali, zmuszając ich tem do większej ostrożności.

Chrześcianie, szukając bezpieczniejszego schronienia, odkryli wreszcie miejsce nie wygodne wprawdzie, lecz pewne.

Za miastem, w wielu bardzo miejscach były jamy, z których wydobywano kamień na budowę. W miarę rozprzestrzenienia się Rzymu potrzeba było coraz więcej kamienia, więc też i jamy te rozprzestrzeniano, podkopując się w rozmaitych kierunkach. W ten sposób powstały ogromne chodniki pod miastem, niegdyś zaludnione przez robotników, teraz puste zupełnie. Do owych podziemi, zwanych *arenary*, prowadziły liczne wejścia, często bardzo mało komu znane, a ukryte.

Otóż w tych to arenaryach chronili się chrześcianie na modlitwę, tam też powstały pierwsze ołtarze i groby męczenników. Tu mogli pierwsi wyznawcy wiary Chrystusowej swobodnie modlić się i odprawiać pobożne obrzędy, nie narażając się na rychłe wysledzenie pogańskich szpiegów.

Chrześcianaństwo zdawało się bezpieczniejsze,

a rozszerzało się szybko, jakby cudem zjednywając sobie coraz nowych, coraz liczniejszych wyznawców.

Tymczasem dwór Nerona jaśniał przepychem i zbytkiem niesłychanym. Igrzyskom i zabawom nie było końca. Sam Neron bawił się w aktora, występował na scenie grał na uciechę publiczności. Był to pierwszy cesarz, który się w ten sposób zabawiał. Pochlebcy rzucali wieńce i kwiaty, klaskali w dłonie, a Neron myślał, że jest istotnie najlepszym na świecie artystą.

Nie rzadko wszakże Neron nudził się. Trudno mu już było wyszukać zabawę, wszystkiego już użył, wszystkim się przesycił.

Stary filozof Seneca, patrzył na to wszystko i milczał, wiedząc, że rad jego dobrych nikt nie usłucha, a sam Neron śmiał się z nich, albo gniewał. Poważnych ludzi było mało, a ci siedzieli cicho, niechcąc się narażać na gniew pana. Reszta bawiła się, bogaciła, podczas gdy ludzie dawniej bogaci tracili majątki. Cezara otaczali sami pochlebcy, po większej części wyzwolenicy, którzy w ten sposób używali wolności, iż drugich gnębili, niepomnąc jak to ciężka jest dola niewolnika. Takich jak Rufinus było wielu.

Pewnego dnia o zachodzie słońca, wyszedł Neron z zaufanymi swoimi na tarasę pałacową.

U nóg jego leżał Rzym cały, rozpostarty na siedmiu pagórkach. Krwawe blaski zachodzącego słońca oblały niby ogniem szczyty domów, białe marmurowe kolumny, posągi i świątynie wspinały się.

— Piękny widok! — zawołał jeden z Greków.

— Piękny, — powtórzył Neron — lecz mógłby być wspanialszym, groźniejszym, gdyby tak Rzym cały stanął w płomieniach.

Wszyscy zamilkli, patrząc na cezara, jeden Tigellinus uśmiechnął się, wyszczerzając białe zęby.

Zaczął mówić o czem innym. Neron uderzył w struny lutni i deklamował greckie wiersze. Potem dał znak do biesiady.

— Może to ostatnią ucztę wyprawiam wam w tym pałacu — rzekł, pijąc mocne, korzeniami zaprawne wino — znudziło mi się tutaj. Wamże nie wstyd — dodał po chwili, — że cesarz — bóg, największy na świecie artysta mieszka w takim domu? Najlichszy Rzymianin ma wspanialszy pałac odemnie!

— Tu twoi przodkowie mieszkali i ztąd rządzą światem — rzekł Seneca.

Neron udał, że nie słyszy, odwrócił się tylko od filozofa, który czasem jeszcze odezwał się sło-

wem ostrej wymówki, sądząc, że go dawny uczeń posłucha i poprawi się.

Uczta trwała do rana.

Na drugi dzień mówiono, że cesarz wyjechał do Antium. Czekano jego powrotu, spodziewając się nowych zabaw i igrzysk.

I znowu noc się zbliżała, znowu zachodzące słońce krwawo ozłacało szczyty pałaców świątyni.

Lud nie mając zabaw szedł spać o nowych przyjemnościach, które mu miał zgotować.

Noc już zapadła ciemna, gdy w jednej stronie miasta ukazała się jasność czerwona, rosnąca szybko. Wkrótce to samo widać było w innej stronie.

Jasność rosła szybko, obejmując coraz większe przestrzenie.

Był to pożar Rzymu (19 lipca 64 roku).

Szerzył się z niesłychaną szybkością. Wicher miotał główniami płonącymi na wszystkie strony; ogień postępował gwałtownie, obejmując jedną dzielnicę miasta po drugiej.

Z traskiem walących się domów, łączył się krzyk przerażonych mieszkańców, jęk i płacz kobiet i dzieci. Uciekano w jednej tylko odzieży, zostawiając cały dobytek na pastwę płomieni.

Tam, gdzie można było ratować, zjawiali się jacyś ludzie i odpychając ratujących, rozbijali mury, walili piękne kolumny, jakby chcieli dopomóc niszczącemu pożarowi. W ludziach tych poznawano straż Nerona.

Oburzenie zapanowało w mieście; jęk ludzi łączył się z przekleństwami; nie wiedzano kogo właściwie obwiniać o to wielkie nieszczęście.

Rabusie plądrowali domy, unosząc skarby i kosztowności.

Neron powrócił do Rzymu. Stanął na szczycie wysokiej wieży swego pałacu, gdzie go nie mogły dosięgnąć płomienie i patrzył na straszny pożar. Całe miasto wyglądało jak olbrzymie morze płomieni, dym niby czarne chmury unosił się pod stropem niebieskim.

Widok był wspaniały istotnie, ale straszny. Neron się nim zachwycał.

— Lutni! — zawołał.

Podano mu złotą lutnię; on dotknął jej strun, przygrywał cicho i deklamował „*Zburzenie Troi.*”

Wszyscy, którzy Nerona otaczali, zdumieni byli tym jego spokojem. Tam tysiące ginęły w płomieniach, lub ledwo życie unosiły cało, tracąc całe mienie w jednej chwili, a cesarz, ojciec tego ludu, czyli jak go wówczas nazywano: ojciec ojczyzny, grał i deklamował wiersze, pojąc

się widokiem, jakiego dotąd nie było nigdy i nigdzie.

— Straszne trzeba mieć serce — rzekł sam do siebie Seneca — aby mózdz tak spokojnie patrzeć na nieszczęście tylu ludzi, na zagładę najpiękniejszego miasta, które przez wieki całe powstawało powoli, a teraz chwila jedna je zniszczyła.

Pożar trwał sześć dni i nocy. Trzy czwarte części miasta spłonęły do szczętu. Z wspaniałych pałaców pozostały kupy gruzów zczerniałych.

Naród płakał i przeklinał; Neron śmiał się, a z nim śmiał się Tigellinus, który wiedział dobrze, kto był sprawcą pożaru.

— Nie żałujcie tej lichej miściny, złożonej z lepianek i wązkich ulic — mówił Neron — odbuduję Rzym wspanialszym aniżeli był, uczynię go takim, jak żadne miasto dotąd nie było i nigdy potem nie będzie.

W mieście nie było co jeść. Lud burzył się z głodu. Służba cezara uspokajała, że okręta przywiozą z Egiptu zboże; rozdawano w imieniu Nerona pieniądze; w jego własnych ogrodach porozbijano namioty dla tych, którzy dachu nie mieli nad głową. Bogaci patrycyusze przenosili się

do swych willi położonych daleko za miastem, lub do grobowców, w których były mieszkania.

Wreszcie ujrzano nadpływające okręta. Lud wylękł na wybrzeże. Liczono chwile dzielące statki od ziemi. Rzucono się na pomosty, po których ładunek wnoszono na brzeg.

Wreszcie stanęły okręta na kotwicach.

Chwilę panowała cisza pomiędzy cisnącym się ludem, potem nad brzegiem podniesiono krzyk straszny, okropny, w którym słychać było przekleństwa. Z ust do ust podawano sobie straszną wiadomość. Okręta przywiozły piasek z Nilu do wysypywania cyrkowej areny i ścieżek cesarskich ogrodów.

Już nie krzyk, ale wycie słychać było pomiędzy ludem. Ciskano przekleństwa na głowę Nerona, który ich tak zawiódł.

Jeden z dworzan wpadł przelekły do pałacu.

— Czegoś tak blady i przestraszony? — zapytał Neron.

— Lud ci złorzeczy, boski cesarze.

— Lud jest głupi—odparł spokojnie Neron.

— Klnie tobie i mówi, żeś ty kazał Rzym spalić.

Czoło Nerona spochmurniało. Milczał długo, potem spojrział po otaczających go dworzanach. Żaden z nich nie śmiał się odezwać.

— Gdzie to słyszałeś? — zapytał znowu cesarz.

— Lud wyczekiwał zboża z Egiptu i zawiódł się; przybyły okręta, wiozące piasek do cyrku i dzikie zwierzęta, wtedy zaczęto złorzeczyć tobie, panie.

Neron zaśmiał się strasznie.

— Dziś mi złorzeczą, a ileż to razy błogosławili, gdy w cyrku zabawiał igrzyskami. Dawniej pragnęli tego piasku, aby na jego białem posłaniu lepiej mogli widzieć krew czerwoną ofiar i gladiatorów, a dziś klną! Głupi!

I znowu się zamyslił. Potem spojrział na Tigellina i zapytał go cicho:

— Co myślisz? Lud mówi, że ja kazałem spalić Rzym.

— Powiedzieć mu, że to chrześcijanie byli podpalaczami, ci się nie będą bronili...

— Doskonała myśl! — zawołał Neron i śmiał się długo, a tak dziko, jak może nigdy.

— Każ to rozgłosić — rzekł do Tigellina.

Istotnie, wnet rozbiegła się wieść, że chrześcijanie, mszcząc się za prześladowanie swej wiary podpalili Rzym, że oni rabowali palące się domy i tym podobne potworne rzeczy.

Lud uwierzył i zakipiał gniewem ku chrześcijanom. Gdzie tylko jakiego schwymano, pro-

wadzono go przed posągi bóstw pogańskich, kazano składać ofiary. Ale żaden z wyznawców nowej wiary nie chciał tego uczynić. Więc wleczono ich do więzienia, aby potem straszliwie znęcać się nad bezbronniymi.

Neron śmiał się w duchu z tego wszystkiego, rad, że podejrzenie, które na niego rzucono, usunął. Chciał nasycić zemstę ludu, więc zapowiedział widowisko, jakiego dotąd w Rzymie nie było. Lud, chociaż głodny, na widowisko zawsze był gotów pospieszyć. Więc i teraz kto żył ciśnień się do ogrodów Nerona.

Tu przed pałacem stał szereg wysokich słupów. Z nadejściem wieczoru przywiązywano do nich chrześcian, owiżywano ich ciała słomą, oblewano żywicą i podpalano.

Ciała płonęły jak pochodnie, na twarzach męczenników widać było straszną boleść, ale nie słyszano żadnego jęku, ni prośby o litość. Żywem paleni konali powoli, modląc się do Boga przedwiecznego, jedyne, który im to męczeństwo nagrodzić miał szczęśliwością wieczną.

Straszny to był widok; najzaciętsi ludzie wzdrygali się, patrząc na te ofiary rozszalałego ludu i mimowoli zaczęto obawiać się tej świętej wiary, która nowym wyznawcom dawała tyle siły do zniesienia męczeństwa.

Neron na tarasie swego pałacu siedział otoczony dworem i patrzył obojętnie na konanie chrześcian. Ale w głębi duszy lękał się czegoś. Czuł, że ta wiara nowa może podkopać jego państwo, że za tymi męczennikami pójda tysiące, a kto wie czy nie wszyscy.

Co dnia też więcej było chrześcian w Rzymie. Na miejscu jednego umęczonego, stawało dziesięciu innych. Nic nie pomogło palenie, krzyżowanie, rozszarpywanie przez dzikie zwierzęta, ani więzienie w ciemnych lochach mamertyńskich, wiara rozprzestrzeniała się szybko.

Pozostali przy życiu chrześcianie, ukrywali się po owych podziemiach, katakombach; tam się modlili i grzebali umarłych. Kobiety zbierały w nocy kości męczenników, maczały chusty w ich krwi, chowając je jako święte pamiątki, relikwie.

Nikt w domu własnym nie był pewnym życia; szpiegowano chrześcian coraz bardziej, podejrzanych więziono zaraz i katowano.

Julius, widząc to wszystko, obawiał się o życie swojej pani i myślał, jakby je można zabezpieczyć na wypadek napadu siepaczy Nerona. Wnet też wymyślił coś, z czem się zwierzył staremu dozorczy. Ten uścisnął zacnego chłopca, zgodził się z nim i wkrótce byli już spokojniejsi.

Coś robili, nieprzypuszczając wszakże wszystkich niewolników do tajemnicy. Obawiali się, aby który z nich, wzięty przez siepaczy nie wygadał się, chociaż w ogóle rzadko się to u nowych chrześcian zdarzało.

Jakoż pewnego wieczora usłyszano dobijanie się do bramy. Niewolnicy struchleli i nie wiedzieli sami co począć. Julius pobiegł zobaczyć ktoby to był i poznał siepaczy neronowych. Wrócił więc szybko do domu i wraz z dozorcą poszli do Pomponii.

— Uchodź dobra pani, siepacze u bramy są, uchodź błagamy cię.

— Czegoż mam się obawiać— rzekła Pomponia z uśmiechem — zabiją ciało, ale dusza jest nieśmiertelną i prędzej połączy się z Bogiem.

— Na ten raz błagamy cię pani uchodź; jesteś naszą matką i dobrodziejką, żyj dla nas póki możesz.

Prosili długo, wreszcie dała się ubłagać. Poprowadzili ją do ogrodu. Tam pod murem był ukryty otwór do którego weszli. Ztąd prowadziły świeżo ułożone schody w głąb ziemi do katakomb.

Julius powrócił do swoich towarzyszy i powiódł ich także za sobą.

Gdy już nikogo nie było, wyłamali siepacze

bramę, lecz zastali dom pusty. Myśleli, że Pomponia po pożarze Rzymu wyniosła się na wieś, gdzie miała dom ładny i obszerny.

Tak więc tym razem udało się wszystkim ująć bezpiecznie. Ale co ich dziś ominęło, mogło się powtórzyć dnia następnego. Wszyscy byli gotowi ponieść męczeństwo. Modlili się razem i umacniali w wierze, oczekując, co Opatrzność boska zeszele.

Prześladowanie nie ustawało; chrześcian było co dnia więcej, poganie nawracali się podczas męczeństw, nawet dozorczy więzień prosili o chrzest; z katów stawali się męczennikami.

Tymczasem Neron był zajęty budowaniem nowego pałacu, który nazwał domem złotym.

Pałac ten istotnie kapał od złota. Otaczały go ogromne ogrody, stawy, jeziora; pełno wszędzie było drzew najosobliwszych, kwiatów, wodotrysków, posągów bądź nowo wykutych, bądź zabranych ze świątyń greckich.

Pałac otaczały krużganki, wsparte na kolumnach z najpiękniejszych marmurów, na ścianach pełno złota i drogich kamieni. W przedsieniu pałacu stał olbrzymi posąg Nerona, wysoki przeszło sto stóp.

Nic podobnego świat nie widział, a jednak Neron i w tym nowym pałacu nie czuł się szczę-

śliwym. Bawił się ciągle i ucztował, podczas biesiad z sufitów spadał deszcz kwiatów jakąś ręką niewidzialną sypany, na olbrzymich podstawach z koralu i złota paliły się czary z wonnościami, najwyszukańsze potrawy dymiły się ze złotych mis, drogie wina perliły się w puharach ze złota lub kryształu — a jednak wszystko to nie wystarczało Neronowi.

Stawał się coraz bardziej chciwym krwi ludzkiej. Nie dość mu było tysięcy ofiar chrześcijańskich, wydawał wyroki śmierci na poważnych obywateli rzymskich, a liczba ich powiększała się strasznie co dnia.

Seneca raz jeszcze spróbował upomnieć cezara.

— Złą drogą idziesz ceszarze — rzekł mu szczerze — wszędzie krew się przelewa, możesz w tej krwi utonąć...

— Słuchaj stary — odpowiedział Neron, błyskając okiem gniewnie — wieleż to razy przypominałem ci, że już nie jestem uczniem twoim i rad niczyich nie potrzebuję.

— A jednak słuchasz ich, gdy ci je szepczą pochlebcy i doradcy fałszywi.

— Ja miałbym słuchać kogokolwiek! — zawołał Neron z oburzeniem.

— Nie wypieraj się tego. Widzimy to do-

brze, że ludzie nikczemni wyzyskują twe zaufanie.

— Gdyby mi się nawet podobało kogo słuchać, to moja wola, ale ciebie słuchać nie myślę.

— Wola twoja cesarze...

— Więc daj mi pokój, jedź precz z Rzymu i nie pokazuj się więcej.

Seneca odjechał do swojej willi i długo go na dworze nie widziano.

Nie wszyscy wszakże byli tak jak on łagodni; wielu oburzało się na tyraństwo Nerona i w końcu postanowili go zamordować. Na czele spisku, uknutego w roku 65 stanął Pizon. Nie sami tylko mężczyźni do spisku należeli, była pomiędzy nimi i kobieta jedna, Epicharis. Ona nienawdziła Nerona i najgoręcej namawiała do zamordowania go. Nie wszyscy jej słuchali. Byli tacy, którzy przypominali, że jakkolwiek Neron złym jest i ludzi morduje, jednak jako cesara nie godzi się go zabijać. Niech senat rządzi inaczej, niech postępuje uczciwie, niech obywatele nie zdradzają swoich braci, wtedy wszystko będzie dobrze, ale targnąć się na życie cesara to niegodziwe.

Głos ten wszakże nie przekonał wszystkich; postanowiono dzieła zaczętego dokonać.

Wszakże Neron dowiedział się o spisku; sprzy-

siężonych pojmano, męczono ich, aby wyznali nazwiska innych, których nie znano. Epicharis, chociaż słaba kobieta, męczona strasznie przez dwa dni, nie zdradziła nikogo z współwinnych. Umarła nie wyrzekłszy ani jednego nazwiska. Dzięki temu udało się niektórym sprzysiężonym ująć kary cezara.

Odtąd stał się Neron dzikszym jeszcze i zarazem ostrożniejszym. Otaczał się strażami, nie dopuszczał do siebie nikogo, chrześcian bał się najbardziej, wiedząc, że ich jest bardzo wielu, a co dnia pomimo licznych męczarni, jakby z pod ziemi wyrastali.

Seneca, pomimo zakazu, raz jeszcze przybył do Rzymu. Neron ujrawszy go zakipiał gniewem.

— Zapomniałeś, że cesarowi nie wolno być nieposłusznym!

— Pamiętam, że milczeć nie godzi się tam, gdzie idzie o ratunek drugich — odrzekł filozof spokojnie.

— Kogoż ty chcesz ratować?

— Ciebie cesarze!

Neron patrzył chwilę na swego dawnego nauczyciela. Wahał się, co ma powiedzieć. Wreszcie odezwał się:

— Za długo żyłeś filozofie, stary jesteś, sam sobie zawadzasz...

Seneca zbłądł, zrozumiał co znaczą te słowa; to był wyrok śmierci, rozkaz aby sam sobie życie odebrał. Było to u Rzymian zwyczajem, że kiedy komu przyniesiono wyrok śmierci, on nie czekając dłużej, sam sobie życie odbierał. Używano do tego rozmaitych sposobów. Każdy prawie Rzymianin miał przy sobie truciznę, którą sporządzała Lokusta. Sam Neron bywał u niej i truciznę kupował, a nawet nosił na piersi złoty medalion z trucizną.

Seneca wiedział więc, że nie pozostaje mu nic innego, jak tylko życie sobie odebrać, zanim mu Neron przysze siepaczów. Stał chwilę, milcząc patrzył z wyrzutem na Nerona; takiej wdzięczności nie spodziewał się od ucznia swego.

— Idący na śmierć pozdrawia cię cesarze— rzekł odchodząc.

Neron nie spojrział nawet na starego filozofa, nie cofnął wyroku.

Powróciwszy do domu, kazał Seneca przygotować wannę z ciepłą wodą, pożegnał krewnych i przyjaciół, wszedł do ciepłej kąpieli i żyły sobie podciął. Był to bardzo używany sposób samobójstwa. Krew z żył rozciętych wypływała, a umierający zasypiał na wieki.

Przyjaciele Seneci szczerze go żałowali, bo go cenili jako wielkiego uczonego.

Ale w tych czasach nie on jeden z ludzi poważnych zginął. Co dnia o nowej śmierci dowiadzano się. Poważni mężowie smutni byli, inni wesoło bawili się i śmiali, patrząc na zabójstwa i męczeństwa.

Chrześcianie zbierali się w katakombach na modlitwę i prosili Boga o lepszą dolę dla Rzymu, który cierpiał wiele.

Pomponia była prawdziwą matką chrześcian. Cały swój znaczny majątek przeznaczyła na wsparcie dla ubogich braci, oddawała im wszystko co miała, żywiła i odziewała wielu. Niewolnicy jej pomagali szczerze i kochali ją wielce, widząc jej zacność i poświęcenie się dla drugich.

Przez czas jakiś zdawało się, że niebezpieczeństwo minęło, mogli więc wszyscy spokojniej zamieszkać w domu Pomponii i tu gromadzono się na modlitwę. Prześladowania chrześcian ustały trochę, przynajmniej nie były tak wielkie, jak przedtem. Neron więcęj myślał o własnem bezpieczeństwie i obronie przeciwko spiskom, których się obawiał.

Wówczas to można było słyszeć wyznawców Chrystusa, mówiących głośno na ulicach Rzymu.

Wiedzieli, że są tak liczni, iż ich nikt wytepić nie zdoła, a każdy był gotów na śmierć męczeńską.

Julius stał się bardzo gorliwym chrześciani-
nem i wielu nawrócił. Wychodził z domu czę-
sto, odwiedzał ubogie domy, roznosząc dary swej
pani, pocieszał smutnych, zachęcał do wytrwa-
nia w wierze. Nawet przed poganami nie bar-
dzo się z tem krył, że był chrześcianinen.

Bóg go wszakże cudem chronił od niebezpie-
czeństwa.

Pewnego razu, już nad wieczorem, wracając
do domu spotkał gromadkę ludzi, rozmawiających
głośno i śmiejących się. Chciał ich wyminąć,
widząc, że są zbyt weseli, pewno po dobrej uczcie.
Spostrzegli go wszakże i zatrzymali.

— Dokąd ci tak pilno, zacny Rzymianinie,—
zawołał jeden z idących — a nie byłbyś łaskaw
z nami na wino!?

Julius raz jeszcze spróbował ująć z drogi na-
pastnikom.

— Wilkiśmy to, czy żydy, abyś od nas ucie-
kał?

Julius spojrział uważniej na mówiącego. Zda-
wał mu się znajomym.

— Puście mnie, do domu mi pilno — rzekł.

Ten, który go pierwszy zagadnął, zbliżył się
jeszcze bardziej.

— Albom ślepy, albom cię już gdzieś widział — zawołał.

Julius już teraz nie wymykał się. Stanął śmiało w oczy napastującemu i rzekł:

— Przypatrz mi się dobrze, może sobie przypomnisz.

— Hm, znam cię niby, a nie wiem z kąd i kto jesteś.

— A ja ciebie nie zapomniałem szlachetny Rufinusie!

— Z kąd mię znasz?

— Razem nas wiedziono na targ; niewolnikami byliśmy...

Rufinus oczy przetaił, znać pił za wiele i źle się trzymał na nogach.

— Pamięć mię zawiodła, powiedz jak się nazywasz.

— Julius.

— Julius — powtórzył Rufinus, — taką złą mam pamięć...

— Przypomnę ci więcej jeszcze. Kiedyś się śmiertelnie rozchorował, handlarz nasz chciał cię na drodze porzucić, mówiąc, że już nic z ciebie nie będzie. Wtedy brat mój Lucius na własnych barkach cię dźwigał i życie ocalił. Tyś mu za to wdzięczność obiecywał do śmierci; obiecywałeś, że gdy będziesz wolnym i bogatym obu nas

z niewoli wykupisz... Zapomniałeś o tem, a kiedy brat mój ginął w arenie cyrkowej, tyś się śmiał z radości i klaskał w dłonie... Nie poznałeś pewno twego wybawcy, chociaż wdzięczność przysięgałeś... Cóż, przypominasz sobie teraz mnie i brata mego?

Mówiąc to, patrzył Julius śmiało w oczy pijanemu wyzwolencowi Nerona. Rufinus nie rzekł z razu ni słowa, potem dopiero, jakby oprzytomniawszy zaśmiał się głośno.

— A toś mi zabawną opowiedział historyjkę, chodźże za to z nami na wino... chociaż niewolnikiem jesteś, a jam wolny i przyjaciel Nerona.

Julius odsunął się ze wzgardą od tego człowieka, który zapomniał o przysięgach, a teraz jeszcze naigrawał się z niewolników.

— Masz towarzyszy do biesiady, idź z nimi; jam nie dla ciebie..

— Ej, nie gniewaj mnie hardy niewolniku!

— Jestem niewolnikiem, lecz nie twoim.

— Milcz i chodź, jeśli ci życie miłe!

Julius obejrzał się, kędyby umknąć. Z pijakami niebezpieczna była zwada. Rufinus schwytał go za rękę.

— Ty gardzisz mną!? — zawołał.

Julius zawahał się chwilę.

— Tak! — odrzekł.

Rufinus porwał się do miecza, towarzysze chcieli mu dopomóc. Julius stał spokojny, oczekując ciosu. Nie miał się czem bronić i nie myślał o tem nawet.

Spokój ten zdziwił napastników.

— To pewno chrześcjanin, nikt inny nie stał by tak spokojnie wobec grożącej śmierci.

Rufinus miecz wstrzymał.

— Mów, jesteś chrześcjaninem?

— Jestem nim — odpowiedział Julius z mocą i spokojem.

— I nie lękasz się mnie, zaufanego Nerona, poganina, jak wy nas nazywacie?

— Czegoż bym się miał lękać?

— Śmierci!

— Ta spotka mię rychlej czy później; łaskę mi zrobisz zabijając dzisiaj.

— Mówisz spokojnie, może liczysz, że cię puszczyć bezkarnie?...

Julius uśmiechnął się łagodnie.

— Nie, na twoją wdzięczność i pamięć nigdy nie mogę liczyć.

Rufinus zgrzytnął zębami.

— Ha, gadzie cichy, jak ty umiesz kąsać! Ja cię nauczę, co to znaczy drwić z przyjaciół Nerona!

— Wiem, że to uczynisz. Czekam; pokaż jakim jesteś raz jeszcze...

— Zwiążcie go! — krzyknął Rufinus do swoich towarzyszy.

Wolni Rzymianie rzucili się na niewolnika, jak prości żołdacy. On im się nie bronił wcale. Dawno był przygotowanym na śmierć męczeńską. Nie zdziwił się nawet, że Rufinus stał się siepaczem. Szedł więc posłuszny dokąd go prowadzili.

Rufinus milczał już cały czas, tylko spoglądał na Juliusa ze zdziwieniem. Walka jakaś w nim się toczyła. Słowa dawnego towarzysza niewoli klóły go jak sztylety; oburzał się na śmiałka, który mu jego niewdzięczność przypomniał, to znowu wstyd mu było, że go ten niewolnik przewyższał godnością ludzką i spokojem, z jakim oddawał się w ręce zbirów. Myślał o tej wierze dziwnej, która taką siłę dawała swym wyznawcom. Słyszał o tej nauce wiele, bo często o niej na dworze mówiono, patrzył na świętych męczenników obojętnie, a teraz sam został siepaczem. Wstyd mu trochę było, ale jakaś zaciekłość nim miotła.

Więc nie wypuścił Juliusa, lecz odprowadził go sam do więzienia.

Więzienie to straszne było.

Pod schodami, wiodącemi na Capitol, były wykute w skale lochy podziemne, tak zwane mamer-tyńskie. Tam wrzucano więźniów, a biedne te ofiary cierpiały chłód i głód. Karmiono ich źle; wielu z głodu zginęło, innych zabiła febra z zimna i wilgoci. Światła w tych lochach nie było wcale.

Julius wrzucony do lochu usłyszał jęki, ale nikogo nie mógł rozpoznać w ciemności. Po chwili dopiero doleciał jego uszów głos cichy. Poznał, że to była modlitwa chrześcijańska. Ukląkł i sam się modlić począł głośno.

Towarzysze niedoli poznali ten głos modlitwy.

Długo nie było nic słyhać prócz modlących się więźniów. Potem, kiedy modlitwę skończyli, zaczęli wypytywać kto był nowy więzień. Powiedział im imię swoje, usłyszał nawzajem wiele imion znanych z katakomb. Pocieszali się wzajemnie, pokrzepiali, oczekując śmierci.

Juliusa na drugi dzień straż wyprowadziła na miejsce męczarni.

Szedł spokojny, modląc się głośno.

Wzięto go na tortury, chcąc wybadać kto był i u kogo służył, aby resztę chrześcian pojmać. Julius wyznał szczerze, iż przyjął nową wiarę,

wyprzeć się jej nie chciał, lecz nadto nie rzekł ani słowa.

Rufinus był obecny męczarniom. I on wy-
pytywał, kto był panem Juliusa; chciał po nim za-
garnąć majątek, lecz nie dowiedział się nic. Pie-
nił się ze złości.

Julius cierpiał strasznie, a jednak w oczach
świeciła mu dziwna jakaś jasność. Uśmiechał się
i modlił. Konając, raz jeszcze spojrzął na Ru-
finusa.

— Przebaczam ci — rzekł i z słowami modli-
twy na ustach, ducha wyzionął. Milczeniem oca-
lił Pomponię i towarzyszy, w jej domu przebywa-
jących.

Ostatnie spojrzenie męczennika przeraziło
Rufinusa. Uczuł jakiś niepokój wewnętrzny,
myśli plątały mu się w głowie, uciekał z miejsca
męczeństwa, ale od myśli własnych, strasznych,
uciec nie mógł. Zdawało mu się, że wszędzie za
nim goni trup Juliusa, patrzy na niego łagodnie
i mówi: przebaczam ci!

Rufinus wolałby, aby umierający był mu zło-
rzeczył, wolałby słyszeć klątwę, z którejby się
śmiał, ale to przebaczenie spokój mu odbierało.
Nie rozumiał wiary chrześcian, lecz bał się jej
teraz, spodziewał się pomsty chrześcijańskiego
Boga za to, że wydał na śmierć człowieka nie-

winnego, dawnego towarzysza niedoli. Teraz sobie przypomniał i brata jego, któremu życie był winien. Straszne mary goniły go.

Pędził za miasto, lecz nic mu to nie pomogło. W głowie mu się męszało jak szalonemu.

Późno w noc wrócił do pałacu, słyszał wesołe śpiewy biesiadników Nerona, ale sam do nich nie poszedł. Kilka dni snuł się po pałacu, jakby nieprzytomny; nigdzie sobie miejsca znaleźć nie mógł. Wreszcie pewnego dnia zniknął i nikt nie mógł go odszukać.

Towarzysze jego sądzili, że go chrześcianie zabili z zemsty za śmierć Juliusa. Mówiono o tem na dworze, powiedziano nawet Neronowi, gdy o lubionego Greka zapytał. Cezar kazał śledzić, wyszukać bodaj zwłoki Rufinusa, ale wszystko było nadaremne. Zniknął bez śladu. W komnacie jego znaleziono wszystkie szaty, kosztowności i pieniądze, które był skrzętnie zbierał.

Mówiono o tym wypadku długo, wreszcie zapomniano o Rufinusie zupełnie. Na dworze Nerona nie umiano pamiętać o nikim. Miejsce jednego ulubieńca zajmował drugi i wszystko szło dawnym trybem.

Towarzysze Juliusa dowiedzieli się o jego śmierci męczeńskiej. Sama Pomponia zabrała nocą jego zwłoki, przy pomocy domowników za-

niosła do katakomb, a tam pochowano je obok wielu innych, których co dnia przybywało obficie. Po tych samych schodach, które Julius układał dla ocalenia swej pani i towarzyszy, niesiono go teraz na wieczny spoczynek.

Nad jego grobem modlili się żarliwi wyznawcy wiary Chrystusowej, nowi uczyli się z jego przykładu, jak żyć i umierać za tę wiarę świętą.

Pomiędzy ostatnimi szczególną uwagę zwracał od pewnego czasu człowiek, którego dawniej w katakombach nie widziano. Zjawił się przed paru tygodniami, prosił by mu pozwolono słuchać świętej nauki, modlił się wraz z innymi gorąco i gotował się do chrztu. Najwięcej przesiadywał koło grobu Juliusa. Nie raz dniami całemi ztąd się nie ruszał i zginąłby z głodu, gdyby litościwi chrześcianie nie podali mu chleba i wody.

Osobliwszą uwagę zwróciła na niego Pomponia. Podobała jej się ta nabożność niedawnego jeszcze poganina, ale zarazem odgadła, że jakiś smutek tajemniczy trapi tego człowieka.

Gdy już był przygotowany do przyjęcia wiary, prosił najstarszego z kapłanów, aby wpiery wysłuchał opowieści jego życia. Mówił w obec zgromadzonych chrześcian cicho, ale szczerze i widać w nim było wielką skruchę.

Był to Grek, niewolnik przywieziony do Rzymu, którego Neron poznawszy w tabernie kupił i na dwór zabrał. Opowiedział o niewdzięczności względem dwóch przyjaciół, z których ostatniego sam na śmierć wydał.

Szmer zdziwienia powstał pomiędzy chrześcianami.

Owym skruszonym poganinem był Rufinus...

Przebaczone mu winę ciężką i został chrześcianinem. Całe dnie i noce trawił na modlitwie, nie wychodząc wcale z katakomb. Grobu Juliusa nie odstępował prawie. Wkrótce zjednął sobie poważanie chrześcian, lecz smutek nie ustępował mu z czoła. Płakał, modlił się, pościł i chudł coraz bardziej. Niebawem podobnym był raczej do szkieletu, aniżeli do człowieka żyjącego.

Po pewnym przeciągu czasu wyszedł na świat; wracał potem do katakomb i znowu wychodził. Czasem przyprowadzał nowych wyznawców wiary, których sam nawrócił.

Pewnego wszakże razu długo go nie widziało, zapewne więc i on dostał się w ręce zbirów, poszukujących chrześcian. Istotnie tak się stało.

Schwytany, nie zapierał się swej nowej wiary, cieszył się prawie, że poniesie śmierć męczeńską.

Jakże się zdziwili dawni towarzysze jego,

ujrzawszy go w więzach. Nie chcieli wierzyć własnym oczom.

Kiedy Neronowi o tem doniesiono, zdumiał się.

— To żart chyba ze strony tego wesołego Greka — zawołał, — to być nie może, ażeby on został chrześcianinem, on który śmiał się, patrząc na ich śmierć w cyrku, a niedawno sam łapał ich i oddawał w ręce katów!

— A jednakże tak jest.

— Przyprowadźcie go do mnie.

Stanął Rufinus przed Neronem, ale nie tak jak dawniej, z pochylonem czołem, z pokorą i pochlebstwem. Blady był bardzo i wynędzniały; ledwo skóra okrywała mu kości. Tylko oczy gorzały płomieniem. Głowę niósł w górę; śmiało spojrzął cesarowi w oczy.

Neron przypatrywał mu się uważnie.

— Tyżes to Rufinusie, czy cień twój? — zapytał.

— Ja sam, cesarze!

— Więc chyba na żarty przywdziałeś te ła-chmany i bawisz się w chrześcianina?

— Chrześcianinem jestem istotnie — rzekł spokojnie.

Neron patrzył zdziwiony.

— Dlaczegoż to uczyniłeś?

— Bóg wielki oświecił mię i nakazał pokutę, za wszystkie nieprawości moje.

Oczy Nerona zapłonęły gniewem.

— Śmiesz w obec mnie mówić o pokucie i nieprawościach, ty, który byłeś sługą moim i uczestnikiem biesiad moich!?

— Dla tego właśnie to mówię, abys i ty cesarze wiedział, że się nie ostoi długo zbrodnia żadna. Zbliża się wielki dzień, w którym ziemia cała uzna jedyne Boga i on jeden będzie ojcem i panem wszystkich ludów...

— Bluźnierco! — krzyknął Neron — zaraz padnij na kolana i prześlągaj gniew mój, albo zginiesz.

— Przed jednym Bogiem tylko ukorzę się — rzekł Rufinus spokojnie.

Szmer zdziwienia powstał w sali.

Ten wesoły pochlebca, który bawił niedawno dwór Nerona, dziś mówił z wielką mocą, a słowa jego potężnem echem rozlegały się po sali. I zda wało się, że on tu panem, a Neron winowajcą słuchającym sądu.

Na rozkaz Nerona wywleczono Rufinusa z sali. Tego samego dnia poniósł śmierć męczeńską, modląc się do ostatniej chwili i dziękując Bogu, że mu dozwolił tu na ziemi zmyć winy ciężkie.

Zwłoki jego złożono obok grobu Juliusa. Chrześcianie modlili się przy tych grobach często.

Neron stawał się co dnia bardziej ponurym i chciwym krwi ludzkiej. Nie dość mu było chrześcian; znudzili go ci męczennicy śpiewający przy skonaniu. Mordował bogatych Rzymian, najbliższych ze swego otoczenia, za byle jakie przewinienie, a choćby i bez winy zupełnie.

W mieście szemrano i złorzeczono Neronowi.

Głód często dokuczał biednym, bogaci nie byli pewni życia, podbite ludy zaczynały się buntować. Głośno już mówiono o potrzebie wypędzenia Nerona z Rzymu, a obrania nowego cesarza, któryby był godnym imienia ojca ojczyzny.

Neron otaczał się zbrojną strażą; jego pretoryanie, którzy zawsze stali obozem po za murami Rzymu, teraz całe wypełnili miasto. Pomimo tego, lud wrzał gniewem i czekał sposobnej chwili do zerwania pęt sromotnej niewoli.

Zamiast myśleć o swoim państwie i jego potrzebach, Neron coraz więcej oddawał się graniu na scenie.

Rzym oklaskiwał go jako najznakomitszego artystę, lecz cesarowi nie wystarczała ta sława.

— Nudzą mię ci głupi Rzymianie, którzy się na sztukach pięknych nie znają — rzekł pewnego

razu — pojedę do Grecyi, tam każdy jest artystą a sztukę prawdziwą cenić umieją.

Dwór liczny towarzyszył Nerowi w podróży do Grecyi. Przekupywano klaskaczy, gdy cesarz odgrywał sztuki i śpiewał, ofiarowano mu wieńce i nagrody na igrzyskach, pomimo, że podczas wyścigów wypadł z wozu.

Po tych tryumfach powrócił Neron do Rzymu, wioząc liczne wieńce wawrzynowe, zadowolony i niby szczęśliwy, że już świat przekonał, iż niema większego nadeń artysty. Taka zarozumiałość była w tym człowieku!

W domu złotym nie zaznał Neron szczęścia i spokoju. Dowiedział się o buntach, które podnosiły podbite prowincye i wybierał się niby do obozu w Galii, ażeby stanąć na czele wojska i po bohatersku zwyciężyć buntujących się.

Byli tacy, którzy uwierzyli w tę obietnicę i cieszyli się z tej szczęśliwej zmiany Nerona; byli pewni, że samo ukazanie się jego w obozie poskromi bunty.

Tymczasem Neron sam śmiał się ze swego projektu. Nie był bohaterem, walczyć nie umiał, chyba z gladyatorami, do trudu życia obozowego nie nawykł.

Straże pretoryańskie, niepłatne od dawna, zaczęły się o żołd upominać i głowę hardo podno-

sić. Neron pieniędzy nie miał, kazał czekać, a tymczasem niepokój szerzył się pomiędzy żołnierzami i ludem.

Na niebie ukazała się kometa; przepowiadano jakieś wielkie nieszczęście.

Neron z pałacu nie wydałał się, donoszono mu wszakże o wszystkim. Chciał wiedzieć jaką będzie jego przyszłość.

Był wówczas zwyczaj, że na dworach trzymano astrologów, którzy niby umieli czytać z gwiazd dolę i przyszłość ludzi. Powiadano, że każdy człowiek ma swoją gwiazdę i od niej można się dowiedzieć, co go czeka. Nie każdy tylko umiał z gwiazd przyszłość odgadywać. Od tego byli astrologowie uczeni.

Astrologa takiego miał na swym dworze Neron. Nazywał się Babilus.

Nieraz długo w noc siedział Neron z astrologiem, słuchając jego nauk. Teraz więc kazał go zawołać, by mu wróżył przyszłość.

— Bogowie z tobą cesarze — rzekł Babilus, wchodząc do sali, w której był Neron.

— Witam cię uczony astrologu.

— Co mi rozkażesz boski Neronie?

— Chcę byś z gwiazd czytał moją przyszłość.

— Nie w każdej chwili można to uczynić, lecz skoro każesz, spróbuję.

Przystąpił do okna i badał gwiazdy, szukając tej, która oznaczała los Nerona.

Neron niecierpliwił się.

— Dla czego tak długo milczysz, nie lubię czekać.

Babilius nie odpowiadał.

— Miałożby mi co grozić? — zapytał Neron.

— Tak.

— Mów śmiało!

— Kometa ognista zbliża się szybko do twojej gwiazdy, co dnia widzę ją bliżej, jakaś potęga ci grozi.

Neron zaśmiał się dziko.

— Tyś widzę w zмовie z wrogami moimi, oni ci kazali krakać tę złowrogą wróżbę!

— Kazałeś mi cesarze mówić, co w gwiazdach czytam. Mówię szczerze.

Neron spochmurniał.

Ze wszystkich stron dolatywały go groźby; odważnym nie był, ale mścić się umiał. I teraz więc, chciał po swojemu zapłacić astrologowi za jego wróżbę groźną. Zbliżył się do okna, ręce mu drżały, twarz miał gniewną, oczy iskrzyły się złowrogo.

Babilius zbladł, przeczuł, że go śmierć czeka

z rąk samego cezara. Stali przy oknie wysokiem; jedno pchnięcie wystarczało, aby zgiął, rozbijając się o twarde kamienie.

Neron wpatrywał się długo w astrologa.

— Więc grozi mi niebezpieczeństwo? — zapytał raz jeszcze.

— Tak mówią gwiazdy.

— Czy one nie mylą się?

— Nigdy!

— Potrafisz z nich wyczytać i własny los?

Astrologowi przyszła szczęśliwa myśl do głowy.

— Tak jest — odpowiedział.

— Więc czytaj, co ci gwiazdy wróżą — rzekł z złośliwym uśmiechem Neron.

Babilus wychylił się mocno przez okno; Neron wyciągnął ręce, jakby go chciał popchnąć. Chwilę trwało milczenie.

— I cóż?

— W tej chwili grozi i mnie niebezpieczeństwo — rzekł Babilus, odwracając się od okna.

— Istotnie, umiesz czytać w gwiazdach — rzekł Neron z uśmiechem — Nie smuci cię ta wróżba?

— O, tak — odpowiedział astrolog na pozór spokojnie — lecz nie dla tego, że mogę życie utracić; inny jest tego powód...

Neron zdziwił się i zapytał z ciekawością:

— Jakiż to?

— Mówią gwiazdy — rzekł wolno Babilius — że w dzień po mojej śmierci, zginiesz ty, cesarze.

Przerażony Neron, chwycił astrologa za szaty, odwodząc go od okna, jakby się obawiał, by nie wypadł przez nie. Uwierzył wróżbie Babiliusa.

— Nie lękaj się mój stary — rzekł z uśmiechem — będę czuwał nad tobą, aby ci się nic złego nie wydarzyło. Skoro mam na drugi dzień po tobie umrzeć, drogim mi jesteś; życzę ci, abyś żył jeszcze bodaj sto lat!

Astrolog odetchnął swobodnie. Teraz już się nie potrzebował lękać Nerona; znał jego ślepą wiarę w wróżby.

Wszakże Neron spokoju nie odzyskał. Wiadomości były co dnia bardziej zatrważające. Żołnierze grozili otwarciem buntem, jeśli pieniędzy nie dostaną; tymczasem rabowali gdzie się udało. Nikt przed nimi nie był bezpiecznym.

Neron poradzić na to nie umiał, bo skarbiec był pusty — wydano wszystko na zabawy!

W tem doniesiono z Galii, że wojska zbuntowały się. Na ich czele stanął Vindex, człowiek powszechnie szanowany i lubiany. Nie ukrywał

się z tem wcale, że Nerona zrzuci z tronu i porządek w Rzymie zaprowadzi inny.

Neron śmiał się niby z tych pogrózek Vindexa; wysłał do Galii do wojska posła, który miał zbuntowanych uspokoić, przyrzec dary i łaskę cezara, byle tylko pojмали Vindexa i żywego dostawili do Rzymu.

— Sprawię ludowi wesołe igrzysko, będą klaskali i śmiali się, zapomną o buntach — mówił do swych dworzan, lecz ci weselić się nie mogli, wiedząc co się w mieście dzieje.

Neron udawał wesołego; astrologa trzymał przy sobie, karmił go i poił, a śmiał się, że trzyma za poły tego, co przed nim ma umrzeć.

Tymczasem przyszła do Rzymu wiadomość, że Vindex nie żyje. Jedni mówili, iż sam sobie śmierć zadał, inni, że go z rozkazu cezara otruto.

Radował się Neron. Na krótko wszakże, bo już w parę dni potem przyszła wieść inna. Wojska będące w Galii obwołały cezarem Sulpiciusa Galbę, siedmdziesięciodwuletniego starca, znanego dobrze Rzymianom i poważanego przez wszystkich.

Czekano jego przybycia do Rzymu, aby wypowiedzieć posłuszeństwo Neronowi.

Noc była, kometa jakby ognista różga świeciła nad Rzymem, lud wznosił okrzyki i odgrażał

się przeciwko Neronowi. Najzaufańsi przyjaciele opuścili go.

Strach go ogarnął. W nocy kazał zwołać do siebie senatorów.

Przyszli wylękli i bladzi, nie wiedząc co ich czeka.

— Radźcie, jak Rzym ocalić! — zawołał Neron.

Milczeli.

— Cóżto, żaden z was głosu dobyć nie może, kiedy go cesarz pyta? Niedawno byliście weseli, gdy wam wyprawiał igrzyska, śmialiście się i chwaliли moją dobroć, a teraz milczycie jak ryby!

— Nie wiemy jak radzić — odezwał się jeden z najodważniejszych.

— Pretoryanów zwołać, niech bronią uspokoją miasto; jutro, gdy nadciągnie Galba, daruję wam głowę jego!

— Pretoryanie nie chcą słuchać, żądali pieniędzy, nie dałeś im; z głodu rabują.

— Więc wy im zapłaćcie, macie pałace i skarby większe, niżli wasz cesarz; wy dajcie pieniądze!

— Pretoryanie sami je biorą, nikogo słuchać nie chcą.

Neron rzucił się jak wściekły.

— Precz mi z oczu, gady nikczemne!

Wyszli.

Na ulicach krzyk stawał się coraz groźniejszy. Ktoś puścił pogłoskę, że Neron chce Rzym podpalić i wypuścić z cyrku dzikie zwierzęta.

Tłumy zbierały się koło pałacu; chciano zburzyć ten dom złoty, w którym mieszkał niegdyś ubóstwiany Neron; dziś go przeklinano. Taka była sprawiedliwość ludu.

Neron skrył się w odległej komnacie, ażeby nie słyszeć dzikich krzyków ludu. A jednak, słyszał je ciągle. Wzmagały się z każdą chwilą.

Wtem wpadli do sali dwaj wyzwoleńcy cesarza, Faon i Epafroditus.

— Ratuj się cesarze, lud wtargnął do pałacu! Neron zbladł, trząsł się cały.

— Dokąd mam się udać, gdzie skryć?

— Pójdź z nami, my ci wskażem drogę.

Podali mu ciemny płaszcz, aby go nikt nie poznał i wymknęli się skrytymi drzwiami z pałacu.

Burza straszna szalała nad Rzymem. Z grzmotami mięszały się wrzaski ludu.

— Żegnaj mi domie złoty, chlubo życia mojego! — zawołał Neron.

— Prędszej — szepnęła Faon — mogą nas schwycić.

Przedzierali się przez gęstwiny drzew, umykając z miasta. Burza nie ustawała ani na chwilę.

Drżąc ze strachu uciekał Neron z dwoma wyzwoleńcami, nie wiedząc nawet dokąd.

Wtem usłyszeli tentent koni. Poznano straż pretoryanów. Neron usunął się z drogi, bojąc się odkrycia. Błyskawica oświeciła twarz jego. Żołnierze poznali go, lecz żaden go nie chciał zabić; odwrócili się ze wzgardą.

Obdarty, dostał się do domku Faona. Ściany nagie, sprzęty proste, łoże twarde, wszystko to raziło przyzwyczajonego do zbytku Nerona.

Skulony, trzęsący się usiadł w kącie izby, nasłuchując. Spodziewał się, że lada chwila wpadną żołnierze i zabiją go.

— Nie ma ratunku, cesarze — rzekł Faon — zadaj sobie sam śmierć, aby cię ręka oprawcy nie dotknęła.

Neron milczał. Nie miał w sobie tyle odwagi, co każdy inny Rzymianin.

— Przypomnij sobie — mówił dalej Faon, — jak mężnie zginęła Epicharis, gdyś jej przysłał wyrok śmierci.

— Nie, ja się zabić nie mogę, żyć chcę koniecznie. Artystą jestem, szkoda mię będzie...

— Ale żyć ci nie pozwolą.

— Cóż ja komu szkodzę? Pojadę do Grecyi, albo do Egiptu, tam będę siedział spokojnie; niech Rzymem rządzi kto chce...

— To niepodobna!

— Dla czego?

— Tobie, cesarze, nieprzystoi prosić o łaskę tych, którzy cię niedawno służyć musieli.

— Ale ja żyć chcę!

Patrzali ze smutkiem na tego tchórza, który chciał żyć koniecznie, kiedy mu groziła hańba.

Usłyszano pukania do bramy.

Faon wybiegł zobaczyć, ktoby to był.

Przybył jeden z niewolników Nerona, nie wiedząc, że jego pan tu się znajduje.

— Jakie wiadomości przynosisz.

— Rzym obwołuje Galbę cesarem.

— A o mnie co mówią?

Niewolnik zawahał się.

— Mów śmiało. Nie jestem już cesarem, wszak prawda?

— Ogłoszono cię zdrajcą ojczyzny i wydano wyrok śmierci...

— Jakżesz mam zginąć?

— Kat cię ma zelżyć, potem rozćwiartować!...

— Podli! — syknął Neron — Bogiem mię swoim nazywali.

— Odbierz sobie życie, cesarze, aby uniknąć hańby — rzekł Faon.

Neron milczał długo. Wreszcie ocknął się.

— Nie słyszałeś o astrologu Babiliusie? — zapytał niewolnika.

— Wczoraj zginął w walce ulicznej.

Neron zakrył sobie twarz i jęknął.

Otoczającym go zdawało się, że płakał. Teraz już był pewnym, że życia nie ocali.

— Czas umrzeć — rzekł, biorąc do ręki sztylet. Spróbował jego ostrza i przyłożył do szyi.

— Czas umrzeć... — rzekł cicho.

Dwaj wyzwoleńcy i niewolnik milczeli. Może im żal było tego człowieka, któremu los wszystko dał na świecie, a nie nauczył szczęścia rozumnie używać. Wiedzieli, że ginie z własnej winy.

— Nie, ja nie mogę zginąć! — zawołał Neron — w tak młodym wieku, to szkoda. Trzydzieście dwa lata, to kwiat życia, a mnie każą umierać!

Znowu pogrążył się w zadumę.

— Idź Faonie do Rzymu, powiedz, że nie chcę być cesarzem, ale niech mi żyć pozwolą. Opuśćczę ziemię rodzinną, pojedę daleko, usłyszą o mnie, lecz chyba tylko o Neronie — artyście! Niech rządzi kto chce tym ludem rzymskim, któ-

ry mię uwielbiał, a nie kazał się szanować i dziś niewdzięcznością płaci za to, żem go bawił!

Faon milczał.

— Dla czego nie idziesz, czy i ty już mnie nie chcesz słuchać?

— Wiernym ci będę do ostatniej chwili, lecz tego rozkazu wykonać nie mogę.

— Dla czego?

— Nie usłuchanoby twej prośby i...

— I co?

— Nie godzi się tobie, cesarze, poniżać do takiej prośby.

— Ciągłe mi to samo powtarzasz!

— Bo jako najwierniejszy ze wszystkich, chcę cię ochronić od hańby!

Z ulicy doleciał ich tentent koni i szcęk oręża.

— Spiesz się, cesarze, to straż ciebie szuka.

— Niechże się tak stanie! — rzekł Neron, przykładając sztylet do gardła.

Nie miał siły odebrać sobie życia, które sam zmarnował.

— Pomóż mi...

Zaczęto się dobijać do bramy.

Faon pchnął silnie ostre żelazo. Krew tryśnięła strumieniem.

— Ginie największy na ziemi artysta, o, jaka szkoda! — zawołał Neron.

To były ostatnie jego słowa.

Twarz zakrył płaszczem i padł na twarde łoże.
Straż wpadła do izby.

Dowódca spojrział na zwłoki Nerona.

— Kazano mi schwycić go żywego, ale lepiej się stało; niech Rzym nie urąga temu, którego niedawno ubóstwiał.

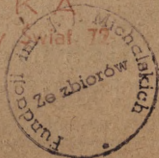
Tak skończył życie srogi cesarz rzymski, Neron, dnia 11 czerwca 68 roku po narodzeniu Chrystusa.

Nikt po nim nie płakał. Lud rzymski cieszył się nawet, witając radośnie nowego pana, sędziwego Galbę.

Chrześcianie, którym Neron tak wiele złego uczynił, nie złorzeczyli mu. Wiara ich uczyła przebaczenia nawet prześladowcom.

Po strasznych prześladowaniach i męczeństwach, powstawali silni; nigdy nie mięszając się do zaburzeń w państwie, dłoni nie zboczyli krwią swoich prześladowców. Cierpieli, jak Syn Boży cierpiał, aż wiara święta zwyciężyła świat cały, a na koronach mocarzy zajaśniały krzyże...

INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA
00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat, 79
Tel. 26-68-63



PRZYJACIEL DZIECI

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE,

NAUCE I ROZRYWCE MŁODZIEŻY POŚWIECONE.

Wychodzi w formie arkuszowej z dodatkiem półarkuszowym, przeznaczonym dla młodszych dzieci, dopiero rozpoznających naukę. Pomieszcza powieści historyczne i obyczajowe, opowiadania historyczne z własnych i obcych dziejów, podróże, artykuły naukowe, wiersze, różne zadania zwane łamigłówkami, a w dodatku powiastki i wierszyki zastosowane do pojęcia ich małych czytelników.

Głównem jego zadaniem, w zabawie podawać rady zabawienne i wiadomości naukowe, aby młodzi czytelnicy przywiązując się do niego, jednocześnie i korzyść moralną odnosili. O ile spełnia trudne to niezmiernie zadanie, powołuje się na świadectwo Rodziców, Opiekunów i Nauczycieli, którzy pismo to uznali za niezbędny pomocnik w wychowaniu dźwiatwy pod ich opieką będącej.

PRENUMERATA WYNOŚI:

w Warszawie: kwartalnie rs. 1, półrocznie rs. 2, rocznie rs. 4;

na prowincyi i w Cesarstwie:

kwartalnie rs. 1 k. 25, półrocznie rs. 2 k. 50, rocznie rs. 5.

JAKO PREMIUM

Tanie Wydawnictwo Przyjaciela Dzieci.

Spełniając życzenia wielokrotnie objawiane tak przez Rodziców jak Nauczycieli, rozszerzenia zakresu działalności Przyjaciela Dzieci odpowiedniami wydawnictwami, Redakcyja jego przeznaczająca cztery powieści historyczne przez E. Zorjana p. t. „Popiel i Piast.”—„Chrząst Mieczysława.”—„Bohaterowie i Nie-wolnicy.”—„Dwaj Bracia.” Stanowiąc one będą początek Biblioteczki domowej z pożytkiem trwałym, nie chwilowe dającym zadowolenie, do której w przyszłości wejdą dziełka z treścią jak najrozmaitszą, odpowiednią artykułom Przyjaciela Dzieci, które dla obszerności swej w piśmie tem nie mogą być pomieszczone.

Przedpłata na cztery te dziełka dla prenumeratorów Przyjaciela Dzieci, Tygodnika Mów i Biesiady Literackiej wynosi: w Warszawie rs. 1, w Cesarstwie i na prowincyi wraz z przesyłką pocztową rs. 1 kop. 15. Dla nieprenumerujących żadnego z tych pism: w Warszawie rs. 2, w Cesarstwie i na prowincyi z przesyłką pocztową rs. 2 kop. 15.

Adres: J. K. Gregorowicz, w Warszawie, Widok Nr 3.

F

3016